



Przekładanie RZEKI

STR. 8



KOMU GAJÓWKĘ?

STR. 7



ODGŁOSY

ROK XVIII NR 37 (927)

11 WRZEŚNIA 1975 ROKU

CENA 3 ZŁ



TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

REKOMENDACJE

Wrzesień jest tradycyjnie już miesiącem Warszawy. Dlatego też otwieramy bieżący numer „Odgłosów” wierszem Jana Huszczy, poświęconym stolicy.

O Łodzi natomiast i o gospodarce żywnościowej, rolnictwie i ogrodnictwie pracujących na potrzeby łódzkiej aglomeracji pisze Ryszard Bińkowski w artykule „Zielony pierścień wokół miasta”. Ze spraw codziennych zajmujemy się również... upałem, a co za tym idzie – problemem klimatyzacji.

Interesujące są też pozycje z dziedziny literatury. Jerzy Wątrzak omawia głośną powieść polityczną Władysława Machejki „Czekam na słowo ostatnie”, a w „Słowniku pisarzy” przypominamy sylwetkę niezwykłego już wybitnego pisarza, Grzegorza Timofiejewa. Drukujemy refleksyjne opowiadanie Jerzego Wilmańskiego pt. „Wirowanie”. Publikujemy także opowiadania Marka Adama Jaworskiego i Andrzeja Sroczyńskiego.

W dalszym ciągu kontynuujemy cykl historyczny Zbigniewa Kuchowicza – tym razem autor opowiada o koronacji Barbary Radziwiłłówny. Do annałów najnowszej historii sięga natomiast Andrzej Blajer przypominając „sprawę Rosenbergow” – głośną w latach pięćdziesiątych, a dziś rozpatrywaną w oparciu o najnowsze ustalenia. O zbrodni w majestacie prawa przeczytacie na stronie szóstej.

Spoza granic Łodzi mamy dla naszych czytelników dwie interesujące pozycje – reportaż Andrzeja Makowieckiego „Komu gajówkę?” oraz całą kolumnę zdjęć Włodzimierza Parysa o „przekładaniu rzeki” czyli o skierowaniu Widawki w nowe koryta, aby umożliwić budowę kopalni odkrywkowej.

Poza tym w numerze wszystkie stałe pozycje – felietony, recenzje, kronika plastyczna, informacje książkowe, telewizyjne oraz Magazyn.

GOSPODARKA ŻYWNOSCIOWA

RYSZARD BIŃKOWSKI

ZIELONY PIERŚCIEŃ WOKÓŁ MIASTA



Na podlódzkich polach zakwitły zagony róż. Plantatorzy kupują trabanty, syrenki, ci, co sieją żytko, patrzą koso i zgrzytają zębami. Większy, stały popyt istnieje na róże szklarniowe. Zawsze można sprzedać półfryzowaną paproć, głośnień o czerwonych, kielichach, ozdobne anturium, palmy...

Ale trzeba się koło tego nachodzić. Tak samo przy goździkach i gerberze. Sadzonki goździków trzymać w dużej odpowiedniej wilgotności, od spodu podgrzewać, w „głowach” muszą mieć ciepło, najlepiej rybaczka. Tak robią w zakładzie Pabianiec, należącym do Kombinatu Państwowych Gospodarstw Ogrodniczych Łódź.

1

Kierownik zakładu, Wiesław Witaszek, biegnie po tym gospodarstwie zafasowany i wciąż kombinuje, co by tu jeszcze usprawnić. Robi się wiele, tu wykopki, tam wykopki, bo nie tylko w fabryce obowiązuje modernizacja.

Dla zwiększenia produkcji Witaszek postawił 3200 mefrów kwadratowych tuneli foliowych. Wczoraj była burza, jeden tunel porwało. Polska folia wystarcza na rok albo dwa, jeśli dobre warunki atmosferyczne. W tunelach sadi się w czerwcu goździki, będzie można sprzedać kwiaty w jesieni. I pomidory w foliowych pierścieniach. To są takie duże „doniczki”. Podwiązany pomidor z pierścienia jest czysty i zdrowy. Chciałoby się przyznać, że szkodniki

uodporniły się na działalność środków chemicznych i na przykład białej muszki nie można wytepić.

Najlepiej smakuje pomidor z gruntu. Pod warunkiem, że dojrzeje w polu.

Tak, ale plantatorzy boją się zmiennej pogody. Upał, potem deszcz i pomidor pęka. Zrywa się z pola zielone. Tracą smak. Całkowicie zabija się walory smakowe podczas przyspieszonego dojrzewania w etylenie.

— W ogrodnictwie trzeba wiele zmienić — mówi Witaszek. — Powinna istnieć jedna firma opracowująca dokumentację i budująca szklarnie z prawdziwego zdarzenia.

(Dalszy ciąg na str. 3)

JAN HUSZCZA



Gdy stoisz na Krakowskim, chodzisz po Łazienkach,
Gdy liczysz piętra gmachów, których wciąż przybywa.
A na miasto wybiega świąteczna piosenka,
Pod mostami zaś rzeka w spienionych fal grzywach
— nie mów, że znasz Warszawę.

Gdy dzisiaj twoje oko cieszy Wiosłostrada
Albo czuwasz w kawiarni, czekając na miłą,
Lecz do ciebie — dufnego — nigdy nie zagada
To, co czerniało kłęską, co triumfem było
— nie mów, że znasz Warszawę.

Gdy w noc listopadową, od neonów jasną,
Skądś doleci do ciebie głos belwederczyków,
Choć tym razem się żadne bramy nie zatrzasną
I tylko zaszeleszczą kartki pamiętników
— to wtedy znasz Warszawę.

Jeśli z i e l o n e o c z y Kilińskiego spotkasz
Lub na Prusa się natkniesz w smutnym zamyśleniu,
Gdy zamieszka w pamięci z Baczyńskiego zwrotka
I ujrzyś czekających na salwę w milczeniu
— to wtedy znasz Warszawę.

Gdy wiesz, że ledwie ścieżki pelzły przez ulicę
I była wszechobecna nieobecność wszystkich,
Ciemności rozświetlały tylko błyskawice,
Zapowiedź przynosiły brzoź nieśmiałe listki
— to wtedy znasz Warszawę,
Na pewno znasz Warszawę!

19, 20. VII. 1974

HISTORIA OBYCZAJÓW

ZBIGNIEW KUCHOWICZ

KORONACJA BARBARY RADZIWIŁŁÓWNY

Podczas trwającego od maja do lipca 1550 roku sejm w Piotrkowie, Barbara przebywała w Krakowie, skąd ślala królowi czule listy i mile upominki. Spotkanie nastąpiło dopiero w lipcu. Było zaś tym radośniej, że wracał zwycięski, promienny, otoczony niedawnymi wrogami, który teraz ubiegali się o jego łaski. Królestwo rychło opuścili duszny w tym miesiacu Kraków, udając się do położonych pośród lasów Niepołomic. Cieszyli się tam sobą, pobyt urozmaicały im także łowy i wizyty. M.in. przybył z pokłonem niedawny antagonistą marszałek Kmita z żoną, która była siostrzenicą królowej. Kmitowie gorąco i pokornie zaprosili królestwo do swej rezydencji w pobliskim Wiśniczu.

Zaproszenie zostało przyjęte. W dniach 24—28 sierpnia 1550 roku Barbara i Zygmunt August gościli u sławnego wielmoży. Krótki pobyt w Wiśniczu stanowił ledno pasmo uczt i festynów. Marszałek podejmował parę królewską z wystawnością i

hojnością wręcz niespotykaną. Wszyscy goście zostali obdarzeni kosztownymi prezentami, obdarowano też dworzan królewskich. Kronikarz napisał później, że Kmita „szczodrością dawne urazy zatrzeć usiłował (...) wszystkiego co na stronę króla i ku czci jego żony należało, nie żałował”. Barbara beztrudno mogła upajać się oznakami czci, jakiej nie szczędził jej gospodarze i całe otoczenie. Król i marszałek, jak również zaproszeni tam senatorowie i dygnitarze, m.in. Czarny Radziwiłł, traktowali jednak wizytę w Wiśniczu jako spotkanie o charakterze politycznym, uzgadnianie tam datę i okoliczności koronacji Barbary. Postanowiono, że odebędzie się ona w obecności licznych senatorów, pretekstem zgromadzenia dygnitarzy miał być hołd księcia pruskiego który zaplanowano na 25 listopada tegoż roku. Po podjęciu tych decyzji para królewska opuściła Wi-

(Dalszy ciąg na str. 6)

OD CZWARTKU DO CZWARTKU

KOBIECY W FILMIE

Pod auspicjami UNESCO powstała zawodowa organizacja kobiet, reżyserów filmowych, która odbyła już swe pierwsze posiedzenie we Włoszech oraz kolegium na temat „Kobiety w filmie”. Do władz organizacji weszły m. in. Agnes Varda z Francji, Mai Zetterling i Bibi Andersson ze Szwecji, Larisa Szepikowa z Związku Radzieckiego i Maria Meszaros z Węgier.

WYSTAWA W HAMBURGU

W piątek w Hamburgu pierwszy burmistrz i przewodniczący senatu, Hans Ulrich Klose, otworzył wystawę „Ty i ja i świat”. Wystawa ta odbywa się pod hasłem „Kobieta partnerem”, co wiąże się z międzynarodowym Rokiem Kobiet. Największą ekspozycją w ramach tej wystawy to „Polska dla Ciebie i Twojego świata”. 20 polskich central handlowych wraz z importerami artykułów polskich w RFN zagospodarowało powierzchni 2.000 m kw.

MIĘDZYNARODOWA SESJA W KRAKOWIE

W sobotę rozpoczęła się w Krakowie 7-dniowa międzynarodowa sesja naukowa na temat stanu i potrzeb badań nad zbiorowością polonijnych. Kierownikiem obrad był wykładowca auli Collegium Novum Uniwersytetu Jagiellońskiego zorganizowana została przez polonijny ośrodek naukowo-edytorski PAN i Towarzystwo „Polonia”. Uczestniczyły w niej blisko 200 naukowców, w tym kilkudziesięciu profesorów polskiego pochodzenia z uniwersytetów i innych uczelni w 13 krajach.

Badań nad problemami Polonii zagranicznej mają w naszym kraju bogatą tradycję. Rozwój i przemiany wśród Polonii stają się jednak przed naukowcami i ośrodkami badawczymi nowe zadania. Sprawy te dominowały w referatach wygłoszonych w czasie otwarcia konferencji.

LAUREACI ŚWIATOWEGO AMATORSKIEGO W TORUNIU

W sull Uniwersytetu im. Mikołaja Kopernika w Toruniu zakończył się 30 sierpnia, trwający od tygodnia, światowy przegląd filmu amatorskiego. W imprezie uczestniczyli filmowcy-amatorzy z ponad 20 krajów. Wyświetlono około 150 krótkometrażów.

Przyznano pięć złotych medali. Otrzymał je: Eugenie Anglada (Hiszpania) za film „La Rabia”, Flaujac Fuy (Francja) za film „La France defugures”, Rudolf Zumstein (Szwajcaria) za „Pro patria”, zespół artystów Komunistycznej ZSRR za film „Powrót”, Franz Lux (Austria) za film „Sport”.

Wzręcono również 11 srebrnych medali. Wśród nagrodzonych 74 zwycięzcy, których wzięto udział w film polski „Uwaga, uwaga!” zrealizowany przez Tadeusza Wudzińskiego.

DOKUMENT O WİETNAMIE

Radziecka ekipa filmowa udała się do Sajgonu, by nakręcić film dokumentalny, przedstawiający organizację nowego życia w wyzwolonym przez siły patriotyczne Państwa Wietnamu i jego stolicy, Sajgonie. Ekipa kieruje znana radziecka specjalistka filmu dokumentalnego, Jekaterina Wermiszewa. Zrealizowała ona już trzy filmy dokumentalne o Wietnamie, a jej prace „Nazwywało go Ho Chi-Minh” należą do najsłynniejszych filmów o tym wietnamskim meżu stanu.

PRZYKOTOWANIE JULIETTE GRECO

Znana piosenkarka francuska Juliette Greco przygotowuje cykl nowych recitali, z którymi wystąpi jesienią w paryskim Theatre de la Ville. Na program złożą się najbardziej znane piosenki Juliette Greco, a także kilka nowych, skomponowanych przez piosenkarkę.

DELEGACJA PRL NA XXX SESJĘ ZGROMADZENIA OGÓLNEGO NZ

Na rozpoczynającą się w dniu 18 bm. w Nowym Jorku XXX Sesję Zgromadzenia Ogólnego Narodów Zjednoczonych została wyznaczona delegacja PRL w następującym składzie: delegat Stefan Olszowski — minister spraw zagranicznych, przewodniczący delegacji, Stanisław Trępczyński — wiceminister spraw zagranicznych, zastępca przewodniczącego delegacji, Henryk Jaroszek — ambasador nadzwyczajny i pełnomocny, były przedstawiciel PRL przy ONZ w Nowym Jorku, Jadwiga Łokaj — przewodnicząca delegacji Związku Spółdzielni Spożywców „Społem”, wiceprzewodnicząca Krajowej Rady Kobiet Polskich, Alfons Klarkowski — profesor Uniwersytetu Poznańskiego.

Zastępcy delegatów: Eugeniusz Wyzner — ambasador nadzwyczajny i pełnomocny, były przedstawiciel PRL przy Biurze ONZ w Genewie, Stanisław Pawlak — dyrektor Departamentu Międzynarodowych Organizacji MSZ, Eugeniusz Noworyta — dyr. Departamentu Studiów i Programowania MSZ, Antoni Czarkowski — rada, minister pełnomocny, zastępca starosty, przedstawiciel PRL przy ONZ w Nowym Jorku, Mieczysław Cielecki — wicedyr. Dep. Miedz. Org. MSZ.

8 GRUDNIA BR. VII ZJAZD PARTII

Najważniejszym wydarzeniem ubiegłego tygodnia było XVIII plenarne posiedzenie Komitetu Centralnego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, które odbyło się w dniu 4 września w Warszawie.

Plenum rozpatrzyło projekt wyciecznych Komitetu Centralnego na VII Zjazd PZPR oraz przyjęło uchwałę w sprawie zwolnienia VII Zjazdu partii, wyboru delegatów na Zjazd oraz dyskusji przedzjazdowej. Sekretarz KC PZPR Edward Gierek, otwierając obrady, wskazał na doniosłe znaczenie przedłożonych do rozpatrzenia dokumentów. Projekt wyciecznych jest końcowym rezultatem kilkunastomiesięcznej pracy komisji zjazdowej i jej sześciu zespołów. Był on dwukrotnie rozpatrywany przez Biuro Polityczne Komitetu Centralnego. Niemniej — jak stwierdził i sekretarz KC PZPR — nie ma o charakteru zamkniętego. Liczymy na to, że dyskusja wzbogaci ten programowy dokument o wartościowe wnioski i przemyslenia oraz pomoże precyzyjnie określić zadania dla całej partii i wszystkich sił społecznych w okresie przedzjazdowym.

Wycieczne na VII Zjazd są dokumentem o znaczeniu ogólnonarodowym, gdyż w oparciu o bilans naszych wspólnych, 5-letnich działań, formułują podstawowe założenia i okre-

ślają kształt rozwoju Polski w drugiej połowie obecnego 10-letnia, w dekadzie urzeczywistnienia i budowy rozwiniętego społeczeństwa socjalistycznego. Program zarysowany w wyciecznych jest w istocie rzeczy kontynuacją strategii społeczno-gospodarczego rozwoju Polski, nakreślonej przed niepełną 4 laty na poprzednim VI Zjeździe. Praktyka społeczna, która jest najwyższym kryterium prawdy i słuszności podejmowanych zamierzeń, najlepiej pokazała, że przed 4 laty obraliśmy słuszną i prawidłową drogę rozwoju.

Powinniśmy więc nadal kroczyć tą samą drogą, stawiając na pierwszym planie sprawy człowieka i podporządkowując celom społecznym całą strategię gospodarczego rozwoju. Taką właśnie jest myśl przewodnią projektu wyciecznych na VII Zjazd, które Biuro Polityczne i Komisja Zjazdowa przedłożyła pod obrady XVIII plenarnego posiedzenia Komitetu Centralnego naszej partii, a które po szerokiej dyskusji zostały zaakceptowane odpowiednią uchwałą.

Podkreślamy, iż w procesie budowy rozwiniętego społeczeństwa socjalistycznego niezbędne jest zasadnicze umocnienie jakościowych czynników rozwoju, upowszechnianie socjalistycznych stosunków produkcji oraz jeszcze mocniejsze zesp-

lanie osiągnięć rewolucji naukowo-technicznej z walorami ustroju socjalistycznego, Edward Gierek stwierdził, iż dążyć będziemy do tego, aby następną 5-latkę przebiegła pod znakiem wyższej jakości i lepszej organizacji we wszystkich dziedzinach życia.

Wycieczne na VII Zjazd partii ujmują te problemy w sposób kompleksowy, wskazując na nierozdzielny związek pomiędzy jakością pracy z jakością warunków życia. Lepsza jakość i organizacja, wyższa kultura i dyscyplina pracy warunkują osiągnięcia dalszego wzrostu materialnego i kulturalnego poziomu życia naszego społeczeństwa.

Na zakończenie obrad plenium przyjęło jednomyślnie uchwałę w sprawie zwolnienia VII Zjazdu PZPR, wyboru delegatów na Zjazd oraz dyskusji przedzjazdowej. Uchwała ta wyznacza dzień 8 grudnia bież. roku jako termin otwarcia obrad VII Zjazdu Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej.

„O DYNAMICZNY ROZWÓJ BUDOWNICTWA SOCJALISTYCZNEGO O WYSZĄ JAKOŚĆ PRACY I WARUNKÓW ŻYCIA NARODU” — pod takim tytułem ukazała się nakładem „Trybuny Ludu” specjalna broszura zawierająca uchwałę na XVII Plenum KC partii wycieczne Komitetu Centralnego na VII Zjazd PZPR. Broszura jest do nabycia w kioskach „Ruch”, cena 1 zł.

DRUK FUNKCJONALNY

W Muzeum Sztuki zorganizowano wspólnie z Łódzkim Towarzystwem Przyjaciół Książki wystawę pt. „Druk funkcjonalny”. Jest to pierwsza próba pokazania i usystematyzowania dorobku polskich konstruktorystów w zakresie sztuki typograficznej na przestrzeni lat 1923-1939. Konstruktoryści polscy zrzeszeni w ugrupowaniach artystycznych „Zwrotnica”, „Blok”, „Praesens”, „a.r.” wiele wysiłku poświęcili pracy nad stworzeniem nowoczesnej funkcjonalnej sztuki typograficznej. Zdawali sobie doskonale sprawę z faktu, iż drukarstwo właśnie jest szczególnie predysponowane do kolportowania i szerokiej popularyzacji założeń nowej estetyki, z jakimi występowała na forum publicznym, stając w jawnej opozycji do twórców zafascynowanych ludznością (tzw. „Skożyłowski”) i kolorystów (z „Czyżewskim” na czele. Prace polskich konstruktorystów, spośród których wymienić należy: Stanisława Strzemińskiego, Mieczysława Szućkę, Teresę Żarnowerównę, Henryka Szafelewskiego, Henryka Berlewskiego, Kazimierza Podszadeckiego zbliżyły się z pracami prowadzonymi w innych ośrodkach sztuki zagranicą, a więc z pracą Jana Tschicholda, autora „Neue Typographie”, które to dzieło Strzemiński przestudiował bardzo

dokładnie i następnie nawiązał kontakt listowy z autorem, wysyłając mu opracowane przez siebie poezje Juliana Przybosa „Sryby”, „Oburącz” i „Z ponad” oraz Tadeusza Peiper’a „Szośta, Szostka” i „Komunikat Grupy „a.r.” nr 1”. Dalej Mondrian i Seuphor w „L’Art Contemporain” szukali ekwiwalentów plastycznych dla tekstu poetyckiego, opracowując poematy „Zmęczony” i „Gmachy”. Prace nad graficzną kompozycją książek i druków prowadzono również w Bauhausie.

Na tle dokonań zachodniej awangardy osiągnięcia polskich konstruktorystów przedstawiają się szczególnie interesująco. Łącząc oni bowiem walkę o nową formę artystyczną z walką polityczną i społeczną. Działali nie tylko w dziedzinie sztuki, ale przede wszystkim w sferach społecznych, dając przykład reformy politycznej. Warto tu przypomnieć, że wiele druków, ulotek, plakatów, książek, broszur, przy opracowaniu których brali udział plastycy, członkowie polskiej awangardy, wydano pod auspicjami Komunistycznej Partii Polski. Ten istoty szczegół pozwala nam lepiej wejrzeć w program działania rodzimej awangardy i

zrozumieć dlaczego tak wielką wagę przywiązywała ona do stworzenia nowoczesnej, funkcjonalnej sztuki typograficznej.

Dokonań polskich artystów w tej dziedzinie spotkały się zresztą z bardzo entuzjastycznym przyjęciem w ośrodkach zachodnich. Ogromną rolę w propagowaniu efektów ich pracy odegrał przebiegający wtedy w Paryżu Jan Brzysłowski. O zainteresowaniu polskimi drukami świadczy reakcja na „Komunikat Grupy „a.r.” nr 1”, zaprojektowany przez Strzemińskiego (a wydany w marcu 1930 roku w drukarni Karola Prochaska w Cieszynie, w tej samej, w której ukazał się tom poezji Przybosa „Z ponad”, również w opracowaniu Strzemińskiego). Listy od Mondriaana, Waldena, Tschicholda, z Bauhausu, które napłynęły na ręce Strzemińskiego z gorącymi gratulacjami, są tego zainteresowania najlepszym dowodem.

W latach 30 wędrowny Łódź stała się centralnym ośrodkiem poszukiwań nad nową formą druku. Utworzono tu szkołę drukarską, której kierownikiem został Strzemiński. Wykładali w niej Karol Hiller i Stefan Wegner, a obok nich znakomici drukarze: Ludomir Mazurkiewicz i Jan Moroszkiewicz. Wielu uczniów tej szkoły pracuje w drukarniach do dzisiaj. Są to: Tadeusz Szmidt, Ryszard Baranowski, Wojciech Brzezinski, Stanisław Gomicz, Józef Jankowski, Stanisław Marzec, Jerzy Szymczak.

TELEWIZJA

Propozycje programowe TV (11-17. IX. 75)

Program II

Czwartek, 11. IX. — program I
18.20 „Przelamanie psychicznej bariery leku jest w chorobach nowotworowych często równoznaczne z szansą ocalenia życia. Na wagę złota leczy się czas rozpoczęcia kuracji”. Problematyka chorób nowotworowych omawiana będzie w programie Karola Lubelczyka „SPOTKANIA Z MEDYCYNĄ”. Temat i jego ujęcie przez lekarzy, wybitnych specjalistów, wartę są szczególnej uwagi widza.

15.45 „GDZIE JEST PRZEBOJ” — program. Ryszarda Czubarzyńskiego, zrealizowany w konwencji grydy piosenki. Popisy wykonawców oceanic będąc niezapomnianą — zaproszeni do studia pracownicy oświatki zakładu „POLANIL”.

Program II
19.40 Milionów kolarstwa oczekuje emocji XXXII Międzynarodowego Wyścigu Kolarskiego Dookoła Polski.

Poniedziałek, 15. IX. — program I
20.20 Teatr TV z Katowice zaprasza na „KROKOWSKI KRÓLEWSKI”. Stanisława Wyspańskiego. Spektakl przedstawiający w potężnym ujęciu losy narodowe z okresu Gogolowski. Autorem i adaptacją jest Ludwik Rene. Muzyka Faceusza Bairda.

Plątek, 12. IX. — program I
18.55 „Nie wszystko gra tak, jak klient oczekuje, czyli o jakości odbiorników radiowych i telewizyjnych — to jeden z tematów lodkiego „SZRAMU” pod redakcją Jerzego Bindera, wstawy Zofia Rydyłówna.

Wtorek, 16. IX. — program I
17.30 „NA TROPACH KUGLARYSTÓW” — program z udziałem prof. Krystyny Łuszczewicz, autorki głośnej książki „Traktat o zieleń”. Propozycja cyklu popularnonaukowego „ZNAKI CZASU”. Połączymy uważy Czytelników.

Program II
17.30 i 20.55 KONSYLIIUM — temat popularnonaukowego programu: planowanie rodziny. W II części — odpowiedzi na pytania widzów.

20.30 Teleskop rozpoczyna projekcję 6-odcinkowego serialu TV NKD „BRACIA LAUTENSACK”. Jest to ekranizacja powieści Liona Feuchtwangera, w reżyserii Hansa Jochimsa Kasprzaka. Akcja filmu toczy się w latach 30-tych. Kolejne filmy oglądać będziemy w wtorek po Dzienniku.

Sobota, 13. IX. — program I
20.20 „KEY LARGO” to nazwa malej wysepek w południowych Stanach i tytuł filmowego dramatu psychologicznego z 1948 r. z Humphrey’em Bogartem. Słynnym aktorowi partnerują: Lauren Bacall i Lionel Barrymore.

16.45 Klub Filmowy zaprasza do obejrzenia dramatu Williama Szekspira „KIBL LIEB”. Film powstał w 1970 w reżyserii Grigorki Kozincewa. Dubbing.

20.20 „OPOWIESTI STARSZEGO PANIA” — program autorski Jerzego Przybory z udziałem autorów i Haliny Kowalskiej. Pierwsza opowieść o dzwienne przygodzie podczas zabawy sylwestrowej.

22.35 „WIECZORY KRAKOWSKIE” z prawnikami w kronice dyskusyjnej znanymi przedstawicielami krakowskiej Palesty. Radzymi obejrzeć.

Program II
16.45 „AUTOBUS ODJEZDZA 6.20” — dramat psychologiczno-obyczajowy Jana Rybkowskiego inauguruje w telekinie retrospektywny cykl jego twórczości. Premiera odbyła się w 1945 roku.

17.25 Spara dawka emocji dla kibiców polki naszej i runda bucharu Klubowych Mistrzów Europy, mecz: RUCH-KUOPIO (Czadlandia) — transmisja z Chor. 1975

Niedziela, 14. IX. — program I
14.30 „NIE TAKI DIABEL STRASZNY” — czyli II program wybitnego dyrygenta i świetnego gwiazdka — Henryka Czyży. Tym razem wprowadza w tajniki utworów Krzysztofa Pendereckiego i Igora Strawińskiego.

20.20 „BALLADA O MOJĘ ŻIEMLI” — program muzyczny-poetycki w reżyserii Czesława Staszczyńskiego. Wystąpią piosenkarze i aktorzy sceni szwedzkiej.

21.25 „CYRK ALFONSO” — węgierski film rozrywkowy z Josefem Markosem (pseudonim „Alfonso”) — obejrzymy w cyklu nagrodzonych filmów „ROZE MONTREUX” (kolor).

FILMY SZKLANEGO EKRANU

Tym razem parę słów o filmach na szklanym ekranie. W ubiegłym tygodniu obejrzałyśmy nader ciekawy film produkcji węgierskiej „Dobry wieczór lato, dobry wieczór miłość”. Być może pomysły scenarzysty opowiadającego dzieje młodzieńca pełnego kompleksów, grającego w życiu wymyśloną przez siebie rolę — nie był zbyt oryginalny. Film jednak frapował, intrygował i można było z niecierpliwością oczekiwać na dalszy rozwój akcji (zakonczony zresztą tragicznie), gdyby...

Otóż to. Nie wiadomo kto w telewizji wpadł na pomysł (tym razem całkowicie oryginalny), aby kazać spikerce przed filmem powiadomić widzów, że bohater jest „niebieskim ptakiem”, hochsztaplerem, grającym wymyśloną rolę. Zdumiewająca beznamiętność, ponieważ realizatorzy — zwłaszcza w pierwszych części — starali się uprawdopodobnić mityfikację Wiktora i nie odkrywali kart. Czemu więc uczyniła to telewizja, robiąc filmowi niedźwiedzia przyszłość?

Mamy zatem dla TV dalsze propozycje tego rodzaju. Niech przed każdym czwartkowym „kryminałem” lub „Kobra” spikerka informuje: „Proszę państwa — morderca jest ten wysoki brunet grany, na przykład, przez Olgierda Łukaszczyka, a pani Irena Karel zostanie zamordowana w 25 minucie spektaklu...”. Będzie to nowość na światową skalę.

A teraz poważnie. W piątek TV zainaugurowała cykl filmów fabularnych zrealizowanych specjalnie dla telewizji. „Dom moich synów” reż. Gerarda Zaleskiego był obrazem świetnym, pełnym delikatności i nastroju, bardzo smutnym, nie pozabawionym ostrych akcentów obyczajowych. Jeden dzień matki, która przeżyła do swoich trzech synów, mieszkających w stolicy, mających swoje własne życie, swoje własne sprawy, lecz nie mających czasu dla matki. Ten dzień wypełniony wdruwka od jednego obcego mieszkańca do drugiego obcego mieszkańca — wszędzie spotyka bohaterkę konwencjonalna serdeczność, ale wszędzie jest chłód i obco. Główną rolę — znakomicie i wzruszająco — zagrała Zofia Jaroszewska, znana aktorka teatralna, która za prawdą grała w filmach przed wojną, ale po wojnie żaden z reżyserów jakoś jej nie zauważył. Dzięki filmowi Zaleskiego zobaczyliśmy, jak wiele film polski stracił przez tę „nieuważność”.

Z filmowych archiwaliów natomiast zaserwowano nam komedijską z lat trzydziestych pt. „Każdemu wolno kochać”. Film wyświetlano w cyklu „W śtarym kinie”, w bloku poświęconym pamięci Adolfa Dymy. Oczywiście oglądaliśmy go z rozróżnieniem i raz jeszcze potwierdziła się prawda o ile klas przewyższał Dymy aktorów filmowych lat międzywojennych. Ale film był — co tu kryć — żenujący, nawet jak na lata trzydzieste. Choćby patronowały mu takie postacie jak Mariusz Maszyński, Janusz Warszewski czy kompozytor Szechter, choćby obok Dymy zobaczyli Zimnitski i Lawińskiego — wybór tej komedii na wieczór wspomnień o Adolfe Dymy wydaje się mocno wątpliwy. Po pierwsze Dymy grał w dużo lepszych filmach (choćby „Wacusi”, „Bolek i Lolek” czy „Sportowicze mimo woli”), po drugie, w tym akurat filmie Dymy miał rolę stosunkowo niewielką i mało ciekawą.

UPAŁ

Temperatura w cieniu 25 stopni. Wesołowicze zadowoleni. Bo chociaż na plaży nie sposób wytrzymać, to pod drzewami, nad wodą, jest całkiem znosnie. Ale gdy wypoczyliśmy nad morzem, w górach czy nad jeziorami, gospodarza kraju musiał funkcjonować normalnym rytmem. Jest to dla każdego oczywiste i zrozumiałe. Jeżeli jednak jest nam ciężko wysiedzieć na rozgrzanej plaży, to co ma powiedzieć hutnik, pałecz czy choćby sprzedawca w nowoczesnym, przeszklonym sklepie. Temperatura powietrza w pobliżu plaży może przekroczyć 60 st. C. Podobnie wygląda sytuacja w zakładach przemysłu włókienniczego. A jak ciepło jest w sklepach czy barach, wie każdy z nas. Oprócz upału ludziom tym niernadko towarzyszy hałas o natężeniu 85 decybeli i więcej. Nic więc dziwnego, że po paru godzinach są zmęczeni.

W USA przeprowadzono testy mające na celu sprawdzenie jak długo można prowadzić samochód bez ryzyka wypadku. Stwierdzono, że nawet dobry kierowca w upale, przy czterech godzinach jazdy zaczyna robić niebezpiecznie dużo błędów i nie powinni kontynuować podróży bez dłuższego odpoczynku. Natomiast przedkładać musi pracować 8 godzin w warunkach trudniejszych niż kierowca amerykańskiego „krajownika”. Jej zmeczenie odbija się na jakości produkcji. Może też dojść do wypadku przy pracy.

Nowoczesne biurowce budowane są jako sztywne konstrukcje betonowe, mocno przeszkolone. Pomimo stosowania zastop, otwierania okien i korzystania z pracy wentylatorów gabinetowych temperatura w pokoiach od strony południowej może osiągnąć 40 st. C. W pomieszczeniach tych pracują projektanci, konstruktorzy, ekonomiści, kierownicy i dy-

rektory, słowem ludzie wykonujący prace wysoce odpowiedzialne. Ich pomysły mogą kosztować miliony.

A co mają powiedzieć lekarze i lekarze w nowoczesnych szpitalach? Na ogół pracują i chorują w równie ciężkich warunkach. Na pewno nie przyspiesza to momentu wyzdrowienia. A handel czy gastronomia? Klienci pociągają się do kolekcji, są podmiłowani. Pani za ladą też odczuwa upał.

Jeżeli więc ma się nam przyjemniej i zdrowiej pracować i wypocząć, musimy nasze biura, fabryki, lokale wyposażyć w urządzenia klimatyzacyjne.

W Polsce produkcja urządzeń klimatyzacyjnych zajmuje się głównie zakłady należące do zjednoczenia „Klimawep”. Dla potrzeb przemysłu lekkiego produkują je Zakłady Urządzeń Klimatyzacyjnych i Automatyki „Unipro” z Łodzi. Produkcja one aparaty nawilżające „Pol-Ros” i „Mogoclim” oraz centrale klimatyzacyjne „CTA”.

Pomimo to nadal konieczny jest import takich urządzeń. W roku 1973 wydatki dewizowe z tego tytułu oceniano na 20 do 30 mln dolarów USA. Jeżeli założycie utrzymanie produkcji urządzeń klimatyzacyjnych na stałym poziomie z 1973 roku, to do roku 1980 musimy wydać około 400 mln dolarów na import tych urządzeń.

Wydatki te znaczący sumy jest nie do przecięcia. Konieczny jest intensywny rozwój produkcji urządzeń krajowych. Ze względu na znaczne opóźnienie naszego przemysłu w dziedzinie klimatyzacji w stosunku do większości wysoko rozwiniętych krajów, oceniane na 10 lat, konieczny jest zakup licencji i gotowych linii produkcyjnych, zwłaszcza do produkcji urządzeń chłodniczych i układów regulacji. Podstawianie takie pozwoli na wyeliminowanie w krótkim czasie

importu, a nawet na uruchomienie eksportu urządzeń klimatyzacyjnych.

Można by spytać, czy wydawanie olbrzymich sum na klimatyzację jest uzasadnione. Przecież koszty zakupu lub wynajęcia klimatyzatora nie są jedynymi kosztami. Dochodzą jeszcze koszty napraw i remontów, konserwacji oraz zasilania ich w energię cieplną i elektryczną. Przykładowo można podać, że w roku 1960 szczytowy pobór mocy przez urządzenia wynosiło 20 mln kwA, a zużycie ciepła 20 tys. gigakalorii na godzinę.

Abymy odpowiedzialnie to w watpliwości, na całym świecie prowadzi się odpowiednie badania. Na ich podstawie stwierdzono, że z zakładów wyposażonych w klimatyzację można produkować wyroby o dużym stopniu skomplikowania i wysokiej jakości. Wzrost wydajności szacowany jest na 20 do 30 proc. Wzrost braków można ograniczyć nawet o 60 proc. Poza tym w zakładach klimatyzowanych zauważono znaczne obniżenie zagrożeń chorobami zawodowymi, przy jednoczesnym obniżeniu pałeczki chorobotwórczej. Jednocześnie zauważono zmniejszenie się plynnoscici kadr, co jest bardzo korzystne z punktu widzenia gospodarki kraju.

Jak więc wynika z powyższych badań klimatyzacja przestała być przedmiotem luksusu, a staje się czynnikiem przyspieszającym tempo wzrostu gospodarczego, przy jednoczesnej poprawie stanu zdrowia społeczeństwa. Rozwój klimatyzacji nie tylko nie można zatrzymać, ale wręcz należy go przyspieszyć. Chodzi tylko o to, aby uczynić to jak najmniejszym kosztem. Aby nie kupować licencji na urządzenia wątpliwej wartości, przestarzałe, drogie w produkcji i eksploatacji. A to, co zostało już zakupione — jak najszybciej zacząć produkować.

Lato, co prawda, się kończy, ale przecież czekają nas lata następne.

MAREK JAMER

ZASTĘPCA

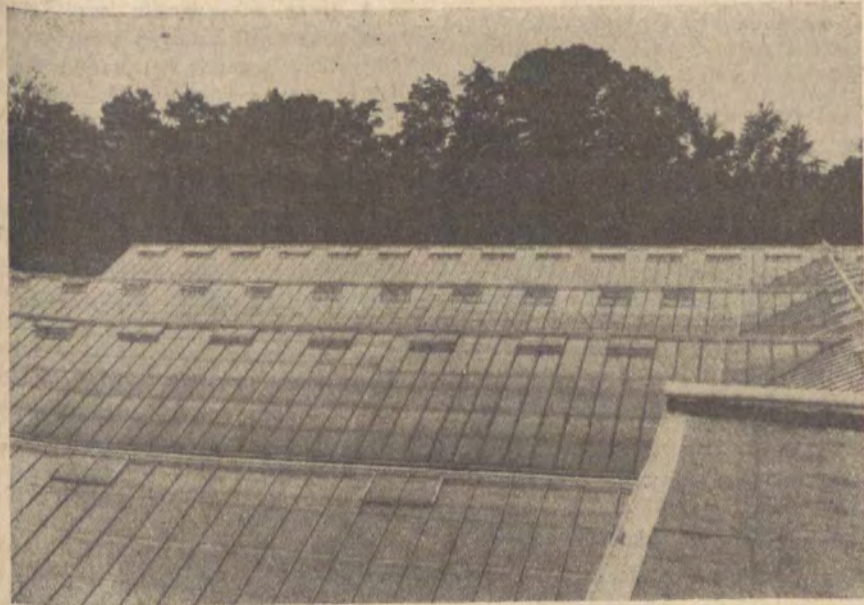
ODGŁOSY

Redaguje zespół: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREIDICH, JAN JANICKI (redaktor techniczny), WIESŁAW JĄDZYŃSKI, BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, WŁODZIMIERZ PARYS (fotoreporter), JERZY RZYŃKOWSKI, WŁODZIMIERZ STOKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), LUCJUSZ WŁODKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), JERZY WILMAŃSKI (zastępca sekretarza redakcji)

Stale współpracują: ANDRZEJ F. GRABSKI, ANDRZEJ GRUN, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, KAZIMIERZ A. LEWKOWSKI, EWA NURCZYŃSKA, KRYSZTOF POGORZELEC, WITOLD ŚLAWSKI, TADEUSZ SZCZEPAŃSKI, BERNARD SZTAJNERT.

RYSZARD BIŃKOWSKI

ZIEŁONY PIERŚCIEŃ WOKÓŁ MIASTA



Fot. W. Kraska

Dalszy ciąg ze str. 1

Bez wietrzenia „na korbkę”, z czujnikami wilgotności, automatycznym regulowaniem temperatury itp. Albo sprawa cieniowania szklarni (malowanie dachów wapnem — przyp. mój). Deszcz zmywa wapno, i dobrze, ale gdy nastanie upał, znów trzeba malować. Robimy to za pomocą maszyn do bielienia obór, bo nie ma w kraju firmy produkującej odpowiednie urządzenia.

Ogrodnictwo to biznes obrosły mitami, ale pracochłonny i ryzykowny. Wczesne wysadzenie pomidorów w gruncie to albo dziesiątki tysięcy zysku, albo strata, jeśli zlapie przymrozek. Może „wylecieć” cała szklarnia pomidorów, gerbery, a zyskową palmę trzeba praktycznie ogrzewać przez cały rok.

Jeśli idzie o różnice między ceną detaliczną a ceną skupu, to ogrodnicze zakłady uspołecznione „traktowane” są niemal na równi z producentami indywidualnymi i na przykład za kwiat goździka otrzymują średnio sześć złotych. Z tym, że „państwowi” nie płać podatku. Prywaciarze płać, ale więcej towaru mogą upchnąć na wolnym rynku po wyższych cenach.

Zakład ogrodniczy w Pabianicach posiada 25 ha gruntów ornych oraz 2 ha upraw pod szkłem ogzewczym. Na 9 ha uprawia się kapustę, cebulę, kalafior, ogórki, porę i selerę. Warunki glebowe słabe i kobiety nieraz z płaczem tłuką dziabkami w spekanie klepisko, bo grunt nisko położony, po wybranej przez cegielnię glinie.

Mimo wielu niedociągnięć i trudności technicznych, wartość produkcji roślinnej za ubiegły rok ogrodnicy wyniosła 12.400 tys. zł, a czysty zysk — 4.300 tys. zł.

Warto przy okazji wspomnieć o mało zauważalnej, lecz znaczącej innowacji: do budowy parapetów szklarniowych zamiast szybko gnijącego drewna używa się niemal „wiecznego” i łatwego do dezynfekowania eternitu.

2.

Około trzydziestu rodzin mieszka jeszcze w czworakach. Wprawdzie są to pomieszczenia odpowiednio zaadaptowane, na dachach anteny, w środku lodówki, pralki, telewizory, w podwórkach coraz częściej samochody osobowe, ale pozbawione „miejskich” wygód i ciszy. Kiedy młodzi popatrzą na ciężką pracę podstarzałych rodziców, spojrzą krytycznie na

warunki mieszkaniowe, robią odwrót i idą do przemysłu, gdzie łatwiej pracować i łatwiej otrzymać mieszkanie. Łódź trzecią potęgą przemysłową w kraju, tuż pod bokiem Bełchatów. Zniknął obraz dawnego robotnika folwarcznego. To już człowiek o innym sposobie bycia i mentalności, pragnący pracować i żyć na poziomie robotnika wielkoprzemysłowego, w odpowiedniej atmosferze i dobrych stosunkach międzyludzkich. Ludzi brak, a jeśli zgłasza się do pracy młoda rodzina, tzw. rozwójowa, stawia z miejsca warunek podstawowy: mieszkanie.

Nieprzypadkowo więc, kiedy stajemy na przedpolach PGO w Widzewie, dyrektor kombinatu PGO Łódź, Andrzej Rzeźniczak, pokazuje dwa bloki mieszkalne, każdy na czterdzieści pięć rodzin, w tym jeden już zasiedlony. Buduje się dwuoddziałowe przedszkole, biurowiec, hotel na sto osób, ale generalny wykonawca, Wieluńskie Przedsiębiorstwo Budowlane, robi bokami. Pisać, nie pisać? Można rozdzielić, przedsiębiorstwo teraz w innym województwie i gotowe całkiem odwrócić się do roboty plecami.

W tym środowisku (technikum ogrodnicze, zespół szkół rolniczych, gmina) przy wydanej pomocy kombinatu można by było otworzyć żłobek. Pozostawiam to pod rozwagę zainteresowanych.

— Jeśli pracownik wykonuje pracę za trzy tysiące złotych — mówi dyrektor Rzeźniczak — a jego pensja wynosi dwa i pół tysiąca, to trzeba mu jeszcze coś dać. Nie tylko dobre słowo, premię, ale przede wszystkim dobre warunki socjalne. To ludzi przyciąga. Możemy pochwalić się sporą kadrą młodych magistrów, wielu techników pracuje u nas fizycznie i chwala sobie, ponieważ w ten sposób uzupełniają w praktyce wiedzę fachową. Stawiamy na młodych i dlatego kombinat pragnie objąć patronat nad otwartą w byłej szkole podstawowej w Chocianowicach dwuletnią Zasadniczą Szkołą Ogrodniczą.

Ważna sprawa. Wielu absolwentów szkół ogrodniczych dzięki korzystnym warunkom stworzonym przez państwo poświęca się pracy w własnych plantacjach. Wielu pracuje w PGO, PGR, spółdzielniach produkcyjnych, a po godzinach u siebie, lecz tego zjawiska nie uważam za negatywne. Natomiast z przykrością trzeba stwierdzić, że nie wszyscy się spraw-

dzają. Bo ogrodnictwo to specyficzny zawód. Każdy magister, chciał nie chciał, musi bez wstrętu wziąć gówno do ręki.

Trzon potencjału gospodarczego Widzewa stanowią uprawy szklarniowe. Pytałem wielu fachowców, którzy stwierdzali, że Widzew to niemal połowa upraw pomidorów, prowadzonych przez ogrodników prywatnych w województwie miejskim łódzkim.

Widzew to cztery bloki szklarniowe typu bułgarskiego, każdy po trzy hektary powierzchni. Będzie jeszcze dziewięć mnożarek po 1400 metrów kwadratowych każda. Taki jeden blok, długi prawie na czterysta metrów. Kierownik Balcerzak jeździ po terenie na służbowym rowerze. Obecnie zakłada się linię telefoniczną z centralką. Wiosną zbiera się tutaj czterysta dwadzieścia ton ogórków i czterysta trzydzieści ton pomidorów.

Konstrukcje szklarni lekkie, bez gruzów ciężkich spawów, gotowe elementy, szybki montaż. Szklarnie rozsadowe z oświetleniem do przyspieszonej vegetacji.

— Potrzebne płatki z importu do wysiewu roślin — mówi ze złością Balcerzak — ale nigdy nie starcza, bo handlowcom nie opłaca się zbieranie tych skrzynek ze sklepów.

Dla mnie osobiste symbolem wkraczania techniki do ogrodnictwa były dwie duże kotłownie, gdzie spala się mazut. Długi pulpit automatycznego sterowania obsługuje jeden człowiek.

W szklarni Balcerzak nacisnął jeden guzik, potem drugi i z cichym szumem otworzyło się jednocześnie dziesiątki wietrzniaków. To jest to, na co choruje Witaszek...

3.

— Roślina musi przyzwyczaić się do ogrodnika — mówi Rzeźniczak. — Nie wystarczy pieczołowicie zdjąć dorodne jabłka z drzewa i nie spojrzawszy na ziemię, przyjąć w sierpniu następnego roku po nowe. Jabłonka nie da. Ale w Osinach daje. I nawet nie trzeba wchodzić na drabinę. W sadzie im krótsza drabina, tym większy zysk.

Gospodarstwo w Osinach stanowi dalekie przedmieście Główna. Wraz z uprawami jagodowych (truskawki, porzeczki, maliny, agrest) — osiemdziesiąt hektarów sadu, a będzie jeszcze czterdzieści. W przyszłości zakład przejmie z PFZ trzysta hektarów gruntu.

— Zebraliśmy sto pięćdziesiąt ton papierówki — wyjaśnia kierownik, Wacław Mróz — i zasypaliśmy Łódź. Część owoców wozimy na Wybrzeże. Niebawem znacznie się zbiorą kronselski i antonówki, razem około dwustu ton. Nie wiem, jak byśmy sobie poradzili ze zbiorem, gdyby nie pomoc studenckiego hufca pracy i praktykantów ze szkół ogrodniczych...

Polska jest jedna, ceny różne. Na przykład na Wybrzeżu jabłka idą po dwukrotnie wyższej cenie niż w Łodzi. Jednakże gospodarstwa uspołecznione mają terytorialne ograniczenia w sprzedaży swoich plodów. I przez to część owoców i warzyw, zblokowanych w nieodpowiednich warunkach, ulega na miejscu zepsuciu. Zresztą nie bez winy handlu, który martwi się tylko o to, jak wykonać plan obrotów, a tymczasem nadmiaru jabłek chociażby nie ma kto

sprzedawać. Pies kości nie zeżre, lecz innemu nie da.

Producentom, tak państwowym jak i prywatnym, należy pomóc poprzez spełnienie dwóch podstawowych warunków: zapewnić pełny odbiór zakontraktowanej masy towarowej i zagwarantować minimalną cenę.

Przykładowo: cena buraczka ćwikłowego (minimalna) powinna wynosić dwa złote. Bo przed laty robotnikom płacilo się dziennie sto złotych, obecnie zaś trzysta. Pytanie: ile buraków musi sprzedać plantator (pg złotówce), aby zapłacić za dzień pracy robotnika?

W Osinach buraczki, pomidory w tunelach foliowych, dynia, ogórki, chrzan. Pełną parą pracuje przetwórcza. Ale są tacy, co hamują robotę. Cukier z Dobrzeliń wygląda jak zmieszany pił na pił z piaskiem. Jeśli Dobrzeliń wyprodukował ten cukier z myślą o bimbrowniach, to zgoda, bo na zalewę do słoików on się nie nadaje. Zalewa jest brunatna, na dnie kilka centymetrów szlamu; pikle wyglądają w takiej zalewie jak zabalsamowane szczury w gnojówce.

Z nowoczesnej huty szkła w Jarosławiu przyszło dwadzieścia trzy tysiące słoików. Jedna trzecia nadaje się na szklany złom! Słoje są zdeformowane, szkło o nierównej grubości; nie da się zakreślić, a jeśli już, to podczas pasteryzacji pękają i owoce oraz warzywa wartości tysięcy złotych idą do rynsztoka. Jeśli w Jarosławiu na tym polega nowoczesność, to niech nas Bozia przed nią chroni!

W Osinach za kilka lat potrzebny będzie magazyn dla tysięcy ton owoców. Spłaszczone sady (drzewa ścięte od góry) dają znakomite plony. Z hektara szpalerowych grusz (bera Hardego i lukasówka) zbiera się 30—50 ton owoców.

Własnym sumptem zbudowano mieszkania dla załogi. W zaadaptowanej byłej stajni (!) znalazły się: doskonale wyposażona świetlica, szatnia i natrysk, hotel, stołówka z estetycznym sprzętem i gabinet lekarski.

Osiny mogą zasypać Łódź owocami i warzywami. Tymczasem, o zgrozo, część ulicy miasta Główna, przy której leży gospodarstwo, znalazła się na terenie województwa skierniewickiego. W Głównie, o kilkaset metrów, szpital i ośrodek zdrowia, lecz „odcięci” mieszkańcy, w tym załoga gospodarstwa należącego do łódzkiego kombinatu, musi pedałować dziewięć kilometrów do lekarza w Nogawkach. Szpital w Brzezinach odległy o siedemnaście kilometrów.

Trzeba ruszyć głową i pokić co działać, aby na Osiny nie rzuciły się Skierniewice.

4.

Zapytałem dyrektora Rzeźniczaka, czy zawsze musimy zwałać winę na złą pogodę i nieurodzaj, kiedy w sklepach brakuje pietruszki i marchwi.

— Nie. Ale grunty mamy słabe, a warzywo wymaga odpowiedniej wilgotności, nawożenia i korzystnych warunków glebowych. Marzą nam się dobre maszyny do wysiewu i nasadzeń, do upraw międzyrzędowych, ochrony roślin i zbiórki. Zeby marchwi i buraczków nie wyjmować z ziemi łopatką. Do warzyw i owoców potrzebne są magazyny z klimatyzacją. Kto będzie kopował porę i selerę? Za jakie grzechy ludzie mają



Fot. Włodzimierz Parys

kuć ziemię i w mrozie i śniegu wyciągać z kopców warzywa?

Gospodarstwa ogrodnicze z nazwy, prowadzą przeważnie produkcję wielotowarową. W PGO Gospodarz, którym od niedawna kieruje inżynier Stanisław Hejnowski, są stawy i hodowli ryb się nie zlikwiduje. Łąk też nie, ponieważ rezerwy paszowe należy wykorzystać do chowu bydła. To wcale nie przeszkadza, że podstawę produkcji w Gospodarzu stanowią uprawy kwiatów cebulowych w gruncie i kwiatów szklarniowych. No, ale ta wielotowarowość trochę utrudnia robotę.

Przy drogach widzi się często prymitywne budy foliowe. POM Gorczyn pod Łaskiem, spółdzielczość terenowa w Zelowie, buduje konstrukcje autentycznych tuneli foliowych, które należy szeroko propagować, ponieważ uprawy pod folią doskonale uzupełniają braki warzyw występujące między wyczerpaniem się upraw szklarniowych a początkiem plonów z plantacji gruntowych. Folia stanowi szansę dla producentów indywidualnych, PGR, spółdzielczości produkcyjnej i kółek rolniczych, jak i dla konsumentów, którzy czekają na warzywa. Przystępne ceny na tunele foliowe mogą stać się zachętą dla plantatorów.

Dzięki pracy ponad tysiącnej załogi dziewięciu gospodarstw łódzkiego kombinatu w ubiegłym roku konsumenci otrzymali kwiaty, owoce i warzywa wartości stu milionów złotych Sklepy PGO, których jest bardzo mało, pracują bez wywiezki z napisem „remanent”. Towar święty, prosto z pola. Przez złośliwość można dodać, że to dlatego, bo nie ma magazynu...

Przetwórstwo owocowo-warzywne Widzewa i Osin, o wartości 10 milionów złotych, wrośnie do 15 milionów. W 1976 roku Widzew ma dać 1600 ton ogórków i pomidorów, a trzy sady (Widzew, Osiny, Wola Bykowska) sypną za kilka lat trzema tysiącami ton owoców. Gospodarstwo w Żerominie prawie całkowicie przestawi się na produkcję warzyw.

Szukano po Polsce, aż znaleziono w Krakowie chętnych do sporządzenia dokumentacji na budowę chłodni, w której można przechować na zimę i wiosną tysiąc ton owoców. Dokumentacja jest, lecz od dwóch lat brakuje wykonawcy.

Zasygnalizowałem tu problemy, aby zwrócić uwagę zainteresowanych, że przy ich szczęśliwym rozwiązaniu województwo miejskie łódzkie może być samowystarczalne, jeśli idzie o zaopatrzenie w warzywa i owoce. Mam na myśli wyniki osiągnięte przez producentów uspołecznionych i prywatnych, którzy nie stanowią dla siebie konkurencji, lecz wzajemnie się uzupełniają.

Idzie o to, aby wokół Łodzi nie dominowały uprawy zbożowe. Należy stworzyć silny, zielony pierścień upraw warzywno-owocowych wokół aglomeracji, aby produkt trafiał do konsumenta świeży, nie zmęczony podróżą. Wymaga to jednocześnie zbudowania dużych magazynów z klimatyzacją. Przy dobrych zbiorach hektar pszenicy daje 5 ton ziarna i zmagazynować go łatwo. Hektar warzyw to 15—30 ton, a kapusty nawet sześćdziesiąt.

Jeśli władze przyjdą z pomocą Kombinatom PGO, ponad milionowe województwo nie powinno narzekać na zaopatrzenie w warzywa i owoce. A na leżącą za miastem Łęczycę nie ma się co oglądać. Ludzie tam się starzeją, plantacje maleją, co zaś jest, przecieka w Kalskie i Koniańskie, bo tam lubią oferować wyższe ceny w punktach skupu.

Kiedyś szukał po Europie adresu Poety Który Nie Skoczył z Okna. Jego wiersze były zakazane, jego nazwisko było nieznane, jakaś tam wzdłużka w podręczniku literatury... Więc szukał, pytał znajomych pisarzy, aż wreszcie ktoś dał mu ten adres.

Napisał do niego. Do dziś ma jego pięć listów, konwencjonalnych listów do niezanego człowieka, do niezanego kraju. Dostał z Paryża parę książek — także konwencjonalnych, skamandryckich wierszy sprzed trzydziestu laty.

Tam, za Oceanem inny Poeta skoczył z okna hotelu „Hudson”, tu w Warszawie inny Poeta skoczył z okna kamienicy na Pradze, tu w Kielcach inna Poetka skoczyła z okna wieżowca w śródmieściu... Poeta, Który Nie Skoczył z Okna, krążył po Europie jak widmo. Któż mógł przypuszczać, że kielkują w nim wiersze przeżyciowe — nie takie, jak owe radosne skamandryckie piosenki.

Był postacią tragiczną, jak każdy emigrant, oderwany od ziemi ojczyzny. Był postacią tym tragiczniejszą, że sądził, iż na emigracji trzymają go jakieś racje polityczne — a to była nieprawda. Pozostał na emigracji, bo runął jego świat, a bał się tej innej, nieznanej Polski. Jego późniejsze działania i gesty — to już tylko konsekwencja tego strachu.

Ale przecież rozumiał, że „Polska leży nad Wisłą”, że „nikt nie jest samotną wyspą”... I wiedział, że Jego „świat kończy się urwiskiem”. Jego strach nie pozwolił mu przyjechać, zobaczyć Polskę, która po pożodze wojennej odrodziła się na nowo — zupełnie inna.

To nie był strach „polityczny”. Wolał po prostu pozostać przy swojej, bajkowej już, wizji Polski, przy swojej nostalgii, przy swojej mecie...

„Strach mój i powrót
Zguba i miłość
Której zabić nie umiem
Ani obronić”.

Ten, jakże bardzo polski poeta, żył w otwartej bramie świata — między nowojorskim Long Island, Londynem i Paryżem. „Wszystkie strony świata otwarte — a wyjścia z żadnej. Taki jest potrzask”.

Na to jedno, jedyne wyjście z potrzasku nie umiał się zdecydować, choć tak dobrze wiedział, że „Polska leży nad Wisłą”, że te wszystkie londyńskie oficyjne księgarskie, paryskie miesięczniki i monachijskie rozgłoszenie — nie są Polską... Bo Polska leży nad Wisłą. Zawsze i w każdej sytuacji.

Ale on krążył z kufrem na plecach po Europie i Ameryce i wciąż gonilo go prerażenie i tęsknota. I patrzył w otwarte okna, które kusily obietnicą samouciestwienia i trwał przy swojej zaciętej niezgodzie.

„Psie wycie za moją ziemią karpacką
Spazm do którego wstyd mi się
przyność
I przeprowadzka za przeprowadzką,
Z Ameryki do Europy,
Z Europy do Ameryki
Kufur na plecach
Schodzone stopy

Ojczyzna”.

Nie potrafił się „zaadaptować” w otwartej bramie świata — Polska gonila go wszędzie. On sam, być może, gonil za jakąś namiastką Polski, krąjąc po świecie.

„List Pana przesłano mi z Ameryki, skąd wyjechał jeszcze w czerwcu i po różnych peregrynacjach osiedlił się na kilka miesięcy w Paryżu” — pisał w listopadzie 1957 roku! Potem był Londyn, potem Paryż, potem znowu Londyn... Kufur na plecach, ciągła wędrówka.

Czytając tom poezji, widzi, jak blisko był Poeta tego ostatecznego gestu, na jaki zdobył się Jan Lechoń, skacząc z okna hotelu „Hudson”. Jego ostatnie wiersze nie tchną już nostalgii: one wołają rozpacz.

„Puste, otwarte okna
Prerażenia
Puste mieszkanie
Otwarte na przestrzał
Trwoga istnienia”.

Nie skoczył — ubiegło go serce. Zagubione, bezradne serce polskiego poety, który zdecydował się na gest, będący dla poety zawsze przegrana — na gest rezygnacji ze swojej Ojczyzny.

Dopiero wtedy wrócił. Kiedy już odniósł zwycięstwo i kiedy poniósł klęskę.

A potem...
Podszedł do niego jakiś wymięty i lekko zakławiony obywatel miejscowości Sątopy-Samulewo. W oczach miał determinację, w ruchach nerwowość. Przemówił patriotycznie:

— Bracie rodaku. Daj dychę na białaczek...

— Ze co? — nie zrozumiał.

— Na piwo. Dychę. Człowiek z człowiekiem... tego, ale góra z górą... —

obywatelowi miejscowości Sątopy-Samulewo myśli się przysłowia, ale co do dychy był pewien. Chciał ją mieć.

Dał mu ją, bo przecież człowiek z człowiekiem i góra z górą...

Wrócił do poczekalni. Do pociągu zostały jeszcze dwie godziny.

I znowu...

Te pociągi lokalne. Tuszec. Ostrołęka. Głowno. Łomża. Elk. Krosno. Te stacyjki. Herbata i piwo. Bulka zeschła. Rozmowy.

— Pan dużo w rozjazdach?

— Tak. Ja ciągle w podróży. Z rajzfiber przez życie.

rozgrywano tam jakieś partie, zmieniano układy pionów i skoczków, ba, ruszano nawet samego króla w myśl reguł rozszady... Gra szła dalej, układy zmieniały się jak w kalejdoskopie...

Kalejdoskop — zabawka, przyrząd optyczny, zawierający różnokolorowe szkiełka luzem, które przy każdym poruszeniu przyrządu tworzą inną kombinację układu, a odbijając się w kilku ukośnie wprawionych lusterkach przybierają kształt symetrycznego wzoru. Ulubiona przenośnia pisarzy i felietonistów — oznacza szybko zmieniające się widoki, sceny, wrażenia, wydarzenia... Kalos — eidos. Piękny wygląd. Piękny kształt.

Blade widoki.

JERZY WILMAŃSKI

WIROWANIE



Rys. A. Grun

Zacina się ekler nesesera. Rozkład jazdy na wierzchu. Z erratą, bo dużo błędów. Za dużo.

I wtedy przypomina sobie...
Ta rozmowa...
Milczysz. Nawet sobie nie wyobra-

żasz, jaka jest we mnie ogromna nad tobą przewaga. Właśnie w tym, że tu, w prywatnej rozmowie ty możesz tylko milczeć, nie potrafisz mi zaprzeczyć. Jaka jest w tobie małość i bezsilność, że teraz tylko milczysz — choć za stołu pokrytego zielonym sukniem ty zawsze masz rację, ty mówisz i twoje jest ostatnie słowo. Ale ty dobrze wiesz, że to tylko ten stół jest twoją siłą. Rozumiesz — głupi stół, z czterema stołowymi nogami, które są przysłowiowo głupie...

— Stać cię tylko na żalose skamlenie: „stary, wiesz jak jest”. Wiem, och, jak dobrze wiem. To ty właśnie nie wiesz nie, jesteś niemy i wyheblowany, jak stołowa noga.

Tak więc...

Tak więc wiedział już, że wyrok został wydany, że procesu nie będzie, albo się odbył w cztery oczy, w jakimś zamkniętym gabinecie, albo w barze „Świat” przy butelce żytniówki i salatec śledziowej.

Jedna para oczu mogła należeć do Sredniaka, albo do Bylego Przyjaciela — druga para oczu i uszu należała także do Sredniaka, ale innego, z innych pięt i wymiarów. Procesu zatem nie było, ale wyrok czuł już wokół siebie, w spojrzaniach, w szepciach...

A potem wszystko się znowu pokomplikowało; obrus na stoliku w barze „Świat” (a może bar nazywał się „Europa”?) zmienił się w szachownicę,

I wciąż ta rozmowa...

— Ale to wszystko prawda, przecież fakty są najzupełniej prawdziwe, to wszystko prawda...

— Ty nie nie rozumiesz. Prawda, prawda... To nie o to chodzi...

Nie o to chodzi. Tak jest. Nie o to chodzi.

A wtedy...

Od rana roznosiło go zdenerwowanie. Coś się tłuło wewnątrz, jakaś irytująca galareta, wypełniająca całe ciało, kolebała się w środku. Chodził z kąta w kąt po wynajętym pokoiku. Dwa razy się przebiegał — ubranie także go irytowało — przebiegał szybkim krokiem z jednego końca uzdrowiska na drugi. Poszedł nad rzekę, potem ścieżką pod lasem. Galareta kolebała się nadal.

Było w nim jakieś oczekiwanie, niecierpliwość i nerwowy niepokój. A tu dzień był idealnie leniwy, senny, pełen słońca i ciszy.

Wszedł do baru. Stary góral stał przed kontuarem nad nie dopitym kuflem.

— Czegoś mi było brak — powiedział do barmanki — a nie wiedziałem, że piwa...

Więc i on miał swój niepokój, rozklekotaną galaretkę i niejasne poczucie niespełnienia. Ale on był szczęśliwy znalazł swoje piwo. A gdzie jest jego piwo i jaki ma smak?

I właśnie wtedy zobaczył w ogrodzie pensjonatu Zieloną w słońcu... To dla niej stworzył mił, z myślą o niej (jeszcze nie znanej) budował motywację i niepokój, planował każdy gest, każde słowo...

W tym mieście, który przeznaczył Zielonej, miał być smutny, wrażliwy, za-

gubiony i trochę zbuntowany w labiryntach świata.

To nie było trudne...

Szli twarzą w twarz zachodzącemu słońcu — niebo zaciągnięte czerwonymi smugami — wiatr furkotał kretnową sukienką Zielonej.

— Ile gwiazd — powiedziała.

Gwiazdy. Banalny motyw, od którego zawsze zaczyna się ta gra. Więc odparł:

— W lipcu w takie noce gwiazdy są bardzo blisko. Na dotknięcie ręki. A to wszystko, co się kłębi i kołuje wokół nas w dalekich miastach, jest bardzo daleko. Miasta są daleko. Pani jest blisko.

— Ale nie jestem gwiazdą? — usmiechnęła się.

— Chyba nie. Gwiazdy, które nam świecą, palą się zimnym światłem, a pani ręce są ciepłe...

— Pana dłoń jest chłodna. Niech się pan przyzna — może jest pan księżycem?

— Niestety, nie.

— Niestety?

— Księżyc ma jedną twarz dla wszystkich, ja mam różne twarze dla różnych ludzi, różne słowa dla różnych ludzi i już sam nie wiem, która twarz i które słowa są moje naprawdę.

— To dobrze — powiedziała Zielona.

— Księżyc należy do astronomii i literatury, a pani należy do tej nocy... do tej wędrówki pustą drogą...

— Do tej ciszy.

— Lubi pan ciszę? — spytała.

— Tak.

— Więc chciałabym być pana ciszą — szepnęła. I przestraszyła się tych słów.

Potem Zielona wróciła w pustą i białą ścianę swego pokoiku w powiatowym szpitalu na krańcu Polski — on tu w te korytarze i pokoje, pełne bieganiny, intryg, pośpiechu...

Pewnej nocy wsiadł w pociąg, ot tak, normalnie, jak się jedzie do Głowna czy Kutna i powiół się przez Tuszec, Ostrołękę, przez jakąś Mławę czy Mankinię — z dziesiątkiem przesiadek, pił piwo na obskurnych stacyjkach — powiół się do Zielonej. To była Canossa przez powiatową Polskę do tego miasta nad Narwią, która wije się meandrami płaską jesienną równiną.

A jest w tym mieście brama na wysokiej skarpcie, za nią jest tylko krajobraz — ziemia opada stromo w dół. „Tu były stare schody, pięćdziesiąt dwa stopnie, ale teraz nie ma już nie — powiedziała Zielona — nad Narew możemy dojść tylko szosą. Ale po co?”

Stali oparci o tę bramę — twarzą w twarz z krajobrazem. Był świt, było chłodno, zaczynała się jesień.

— Właśnie, po co? — odpowiedział.

— Wiem, że się śpieszysz — wybuchnęła Zielona. Wiem, że chcesz już stąd wyjechać, wiem, że nie zostaniesz tu, nie możesz zostać, nie chcesz... Po co tu przyjechałeś?

Sprawdzić siebie? Sprawdzić swoją rozpa-z? Moja samotność... Zobaczyć na własne oczy swoją fotografię na stoliku w moim pokoju? Po co tu przyjechałeś, wiedząc, że nie, nie się nie zmienią, po co, po co, po co...

Odszedł powoli na dworzec, przed sklepami ustawiono już blaszane pojemniki z makiem, stara kobieta zamiatła ubogi rynek, było chłodno, był świt.

Zaczynała się jesień.

Słońce weszło, kiedy już był w pociągu z dzwoniącą szybą przy twarzy — za oknami wstawał dzień. Został Zieloną przy tej bramie, przez którą nie można przejść. Ale nawet — gdyby tam było i tysiąc stopni, szerokich jak w eisensteinowskim filmie — dokąd niby miałby pójść nimi Zielona i on?

Więc wracał przez jesienny pejzaż, a Zielona niła i niła... Stawała się coraz mniejsza, maleńka, krucha jak zabawka (zabawka?), a jego pociąg osobowy wiozł przez inne sprawy i krajobrazy, jego ten rozklekotany pociąg wiozł przez jesienne kartoflika...

Więc jeszcze ten list...

Przez otwarte okno wiatr zmiażdżył z biurka niepotrzebne już papiery. Wśród nich ten list, który nigdy nie zostanie wysłany, przydeptany do podłogi butami ludzi, stłoczonych przy oknie...

„Allejo, poszedłem w upiorne tango. Przed chwilą to wszystko, co miałem Ci napisać, ułożyłem sobie w głowie z przedziwną jasnością i precyzją. A teraz pustka. Lecz spróbuję dobrać do końca tego listu (rozdzielu?), wypowiadając każdy szczegół opętanego tańca, w którym wrowali ze mną ludzie, wrowali zdarzenia, potykały się godziny.

Potykałem się ja sam przede wszystkim.

A teraz odpoczywam rozdygotany pod ścianą sali balowej. Ułożyłem sobie własną legendę na miarę nie moich nerwów, możliwości i kompleksów. Zawiodłem w tym tańcu nie tylko siebie, zawiodłem ciebie i jeszcze kogoś, i jeszcze kogoś...

To okropne słowo (obowiązek?) przed którym się zawsze bronię, bo wciąż mi się zdaje, że jest to słowo nie na miarę mojego wielkiego mitu. Może, ale jest to słowo na miarę mojego maleńkiego życia. I choć wciąż rozdzierałem (próbuję rozdzierać) mój mit od mojego życia — ponoszę klęskę. A właściwie ponoszę je dlatego, że rozdzierałem...

Tak i teraz...

W tym upiornym tangu — w tym wirowaniu nie odnajduję nic naprawdę pięknego, choć były tam sprawy i zdarzenia urokliwe i kuszące. Tkwiłem długo w kręgu tych spraw, w tym tanecznym kręgu. Nie znalazłem piękną, choć o brud ocierałem się bezustannie.

Zresztą nie wierz temu Allejo, to jeszcze jeden fragment mojego mitu. Tak naprawdę, wszystko to działo się poza udziałem mojej woli i świadomości — tkwiłem (tkwię?) w tych tanecznych kręgach, bo tak wypadło ze statystyki, z rachunku prawdopodobieństwa, z moich strachów i mojego losu.

Uciekałem (uciekam?) nocą z jednych mieszkań do innych — nie dlatego, że widzę jakiś cel, a po prostu uciekałem przed czymś, a nie dokądś. I dlatego to upiorne tango jest takie bezsensowne.

Ale cena po latach okazała się wysoka, ta cena okazała się okrutna i siedząc pod ścianą balowej sali, przeszkakuje puste kieszenie, choć wiem, że się już dziś nie wyplacę.

Czy to wszystko, Allejo? Nie, to nie wszystko. Kiedy spoglądam z okien mojego ostatniego piętra w tym Gmachu w środku miasta, widzę w dole służbowe samochody Szeferów. I wiem, że mogę któregoś dnia stanąć na parapecie... Nawet moja wyobraźnia nie potrafi mi podpowiedzieć tego zgrzytu blachy, kiedy kości i mięso dosięgną dachu samochodu...

A potem...

Kiedy przyszło odpowiedzieć na pytanie, jak to było z tym otwartym oknem, nasunęła się komuś analogia... Może po prostu nie zauważył jakiegoś niebezpiecznej liny, może jego lekkomyślność, z której uczynił sobie światopogląd, zawiodła go w tym wypadku za daleko.

Ciągle się śpieszył i w tym pośpiechu musiał, po prostu musiał być nieuważny. W gestach, czynach, uczuciach i pasjach. To był styl, który sobie stworzył, albo taki był on stworzony przez ów styl.

Był czy jest?

Chyba jednak jest. Chodzi po ulicach, wspina się po schodach na swoje ostatnie piętro, pracuje, kocha, żyje... Ale wie, na pewno wie, że w jakimś tam momencie, na któregoś z kartek tej opowieści — albo dokładniej — między jakimiś wierszami tej historii dokonał wyboru (dokonał się wybór?) Już wie, że wiatr go znosi nie bacząc na zamknięte okna, na zaryglowane drzwi... Że wiatr go znosi na otwartą jesienną równinę ciemniejącą za ostatnimi domami przedmieścia.

Tak prędko.

HISTORIA OBYCZAJÓW XIII

Dalszy ciąg ze str. 1

śnić powracając do Niepołomic. Barbarę zorientowano w planach koronacyjnych, swoje zadowolenie wyraziła ona m.in. w korespondencji do Mikołaja Rudego. Rychło powróciła też do Krakowa.

Na koronację Barbary potrzebna była zgoda wyższego kleru, według tradycji winien ją bowiem koronować prymas. Zygmunt August dając za wszelką cenę do tego aktu podjął ciężką decyzję. Aby uzyskać zgodę prymasa, uzgodnił a następnie wydał 12 grudnia 1550 roku przywilej, w którym zobowiązał się utrzymać jedność wyznaniową w Polsce, nie dopuszczając zwolenników herezji do senatu i urzędów, a gdyby nie wyrzekli się swych błędów, wygnać ich z kraju. W osobnym edyktie nakazywał ściganie i karanie zwolenników różnych sekt zgodnie z dawnymi statutami. Wystąpił więc przeciw różnowierstwu podobnie jak jego ojciec, próbował zahamować falę reformacji. Decyzja ta była ciężką z tego względu, że sam sympatyzował z tym ruchem, w gruncie rzeczy był człowiekiem tolerancyjnym i obojętnym wobec spraw Kościoła. Poszedł na rękę klerowi, wbrew przekonaniom i sumieniu, tylko ze względu na Barbarę, tylko dla jej wyniesienia. Po prostu kupił sobie zgodę prymasa tym wstecznym, niezgodnym z duchem polskiego Odrodzenia edyktem. W moim mniemaniu była to może najcięższa ofiara, jaką ponosił dla żony, jeszcze raz okazał, że nie ma ceny, jakiej by nie zapłacił za jej wyniesienie.

Kiedy wszystko już uzgodniono i przygotowano, wyłonili się nowe, nieprzewidziane przeszkody, termin koronacji trzeba było przelożyć ze względu na zły stan zdrowia Barbary. 7 grudnia 1550 roku, w niedzielę, Kraków stał się jednak widownią tego wiekopomnego aktu. Dbający o wszystkie sprawy związane z osobą żony, August doprowadził do tego, że koronację uświetnił liczny zjazd senatorów i znamienitych gości. Wynikło to stąd, iż obrzęd koronacji połączono z hołdem lennym księcia pruskiego. Dwór skłonił też do przybycia Piastów śląskich — Fryderyka Legnickiego i Wacława Adama Cieszyńskiego, którzy swą obecnością podnieśli rangę koronacyjnego aktu.

W wymienionym dniu katedrę zajęli prawie wszyscy polscy biskupi pod przewodnictwem prymasa arcybiskupa Mikołaja Dzierżgowskiego. Prócz nich zasiadli w niej Piastowie śląscy, wyższe duchowieństwo. O znaczonej godzinie w drzwiach katedry ukazał się orszak królewski, który poprzedzał noszący łaskę marszałkowska Piotr Kmita. Za nim szła para królewska w otoczeniu prawie całego senatu i dygnitarzy Rzeczypospolitej. W tym orszaku zwracała uwagę obecność specjalnie zaproszo-

nych na uroczystość braci Barbary — Mikołaja Rudego oraz Mikołaja Czarnego.

Przed wielkim ołtarzem ustawiono obity szkarłatnym londyńskim sukniem tron. Zasiadła na nim, pierwszy raz na przysiółkowym majestacie królewskim, Barbara. Zdobił ją welon, perły, wspaniałe, kosztowne

nie, że chciała choć jeden dzień w życiu królować. Pisano, że chorowała lecz „słabość jednak ciała pociechą tak wielkiej dostojności krzepiła i mawiała także zwykła była, że o nic tak nie stała, byle tylko jednym dniem więcej po koronowaniu żyła”.

Wersje te powtarzano w dawnych opracowaniach, nawet i dziś można

bra koydanowskie. W gotówce miał dostać trzy tysiące dukatów węgierskich i 18 dużych pucharów. Mikołaj Czarny otrzymał w grudniu kanclerstwo litewskie oraz obietnicę województwa wileńskiego, czego król później dotrzymał. Oprócz nadanych ziem otrzymał też od króla podobno sto tysięcy talarów — sumę na owe

świetnił triumf Barbary. Senatorowie przybyli tłumnie w obawie by nie naraził się królowi. I tak zresztą nie byli w komplecie, uderzała nieobecność kasztelana Górki i wojewody sandomierskiego oraz marszałka nadwornego Tęczyskiego. Górka tłumaczył się chorobą, w którą jednak nikt, łącznie z wyrażającym niezadowolone królem, nie wierzył. Tęczyski nawet się nie tłumaczył. Pierwszy senator Rzeczypospolitej kasztelan krakowski i hetman koronny Tarnowski ograniczył swą obecność na koronacji tylko do uczestnictwa w nabożeństwie, w uroczystości nie brał udziału. Podobno nawet opuścił kościół podczas uroczystości pod pozorem słabości. Jest pewne, że po koronacji odsunął się od pary królewskiej i przeszedł do opozycji. Do nowej opozycji ze znaczących panów dołączył wojewoda kaliski, Marcin Zborowski. Tak więc nie użamianie, nie przekonania, lecz wola królewska sprawiła, iż Barbarę musiano koronować, honorować, korzystać się przed jej Majestatem. Po kraju rozszedli się też nie przysiółkowi okrzyki radości lecz pomruk niezadowolenia.

Opozycja nie była jednak zbyt groźna, koronacja stanowiła bezsporny sukces dworu, który miał podstawy do mniemania, iż następne lata przyniosą ugruntowanie pozycji królowej, że nowe układy polityczne zapewnią jej pełne i faktyczne uznanie. W ten grudniowy dzień nasza Barbara była na pewno po prostu szczęśliwa. Szczęście to przyszło jednak za późno. Toczyła ją bowiem już choroba, stąd też nie była w stanie w pełni cieszyć się swym sukcesem. Podług pewnych wersji, po powrocie z koronacji, gdy bliźni domownicy winowali jej korony, Barbara z pewnym smutkiem miała rzec: „Do innej mnie korony Pan Niebieski pozwolił. Proścież go tedy za mną, aby to ziemskie berło na palmę niebieską zamienił, a milęgo męża mego w żalu po mnie utulił”.

Nie sądzę, by tak powiedziała. Była nazbyt młodą i żywotną, by bezpośrednio po takim sukcesie myśleć o śmierci, która kochaną, wiedziała, że jest tak potrzebna Augustowi. Siowa, jakie miała rzekomo wyrzec, uważam za oświadczenie napisane ex post. Sądzę, że była tylko po prostu zmeżona, nie potrafiła cieszyć się tak jak poprzednio, stąd też później miała rzekomo okazać już w dniu koronacji. Przecież dwa dni później uczestniczyła w hołdzie pruskim, w tym celu opuściła komnaty wawelskie. Fakt jest tylko, że po wielkim triumfie przyszły na parę królewską rzeczywiste smutne dni. Nastąpiło to jednak po koronacji, podczas uroczystości Barbara jaśniała jeszcze szczęściem i urodą.

D.C.N

ZBIGNIEW KUCHARCZAK

KORONACJA BARBARY RADZIWIŁŁÓWNY

strój. Prymas Dzierżgowski rozpoczął wówczas celebrować uroczyste nabożeństwo. Z wyżyn tronu patrzyła Barbara na infuły, pastorały, łaski i inne insygnia zgromadzonych dostojników, na senat Rzeczypospolitej, na ludzi, którzy jeszcze dwa lata temu chcieli ją wyświecić z tego państwa. Po skończonym nabożeństwie arcybiskup Dzierżgowski przystąpił do jej tronu i w asyście biskupów dokonał tradycyjnego namaszczenia a następnie, z wielką powagą, uroczyste włożył na jej skroń królewską koronę. Wówczas murami katedry wstrząsnął radosny okrzyk zgromadzonego wokół tłumy, któremu począł sypać pieniądże. Para królewska w otoczeniu gości i dygnitarzy przeszła do komnat wawelskich, gdzie uczestników koronacji obdarzono kosztownymi upominkami w postaci szat, futer i wyrobów jubilerskich. Potem w dwóch salach, z powodu koronacji, obitych złotogłowiem zastawiono wspaniałą ucztę. Brali w niej udział królestwo, Piastowie śląscy i pierwsi dygnitarze.

W dwa dni później, 9 grudnia, król Zygmunt August zasiadł na postawionym pośród rynku podium, by, podobnie jak niegdyś jego ojciec, odebrać hołd księcia pruskiego, składany teraz za pośrednictwem jego posłów. Posłom tym wręczył wspaniałą chorągiew homagiinalną z białego adamaszku ozdobioną złotymi frędzlami. Na akt ten patrzyła królowa Barbara siedząc ze swym dworem w oknach kamienicy Jordana Spytka, podskarbiego nadwornego koronnego. Była to pierwsza uroczystość publiczna, w której brała oficjalnie udział. Był to oczywiście triumf, apogeum sukcesów Barbary. Przez lata zwalczana, lekceważona i żona doznała się chwili, kiedy jej sironie ozdobił królewski diadem wynoszący ją ponad całą wielomilionową rzeszę mieszkańców jagiellońskiej krainy, aktem koronacji wchodziła do kart historii nie tylko jako ukochana nałożnica, czy niezbyt legalnie zaślubiona żona, lecz jako królowa Polski. W piśmiennictwie XV wieku pojawiały się po jej śmierci opinie, że bardzo marzyła o koro-

nie, że chciała choć jeden dzień w życiu królować. Pisano, że chorowała lecz „słabość jednak ciała pociechą tak wielkiej dostojności krzepiła i mawiała także zwykła była, że o nic tak nie stała, byle tylko jednym dniem więcej po koronowaniu żyła”.

Wersje te powtarzano w dawnych opracowaniach, nawet i dziś można bra koydanowskie. W gotówce miał dostać trzy tysiące dukatów węgierskich i 18 dużych pucharów. Mikołaj Czarny otrzymał w grudniu kanclerstwo litewskie oraz obietnicę województwa wileńskiego, czego król później dotrzymał. Oprócz nadanych ziem otrzymał też od króla podobno sto tysięcy talarów — sumę na owe

czasu olbrzymią. Koronacja Barbary stanowiła zwrotny moment w karierze Radziwiłłów, stali się oni nie tylko wysokimi dygnitarzami Wielkiego Księstwa Litewskiego, lecz dzięki skolligacjom z tronem i otrzymanym skarbowi, ogromnie wpływowymi i znaczącymi magnatami w całej Rzeczypospolitej. Od tego czasu zaczęli też jednak opinię polską pieniędźmi i wystawnymi przyjęciami, od koronacji Barbary zaczęli prowadzić życie na najwyższą skalę. Stanisław Myszowski, krajczy królewski, który zawiązał Mikołajowi Czarnemu pieczęć, otrzymał w pieniądżach i podarkach 800 florenów. Stanisław Tęczyski, starosta bełzki, z małżonką, Stanisław Ostrogor, Przelce Gnoński i inni, bawili w tym czasie u Czarnego w Brześciu, otrzymali w pucharach, pierścieniach, sobolach, złotogłowiu i jedwabiach podarki wartości bajonkiej sumy 1800 florenów. Tak szybko wtedy Radziwiłłowie urosli, tak wzboğacili się na królewskim mariażu.

Awans i znaczenie Radziwiłłów, szczególnie Czarnego, wywołały jednak niechęć innych magnatów, m.in. popierającego dotąd króla, hetmana Tarnowskiego. Tutaj trzeba spojrzeć na koronację Barbary także od przysiółkowej kulis, od drugiej strony medalu. Koronacja nie stanowiła, co pisało się często w popularnych opracowaniach czy dramatach literackich, pełnego triumfu królowej, szczerzego uznania jej przez całe społeczeństwo. W istocie aktu tego dokonano wbrew nastrojom przytłaczającej większości społeczeństwa, bez formalnej zgody sejmu czy choćby senatu. Był to, z punktu widzenia prawa, akt w dużej mierze nielegalny, stąd też Orzechowski w swych „Rocznikach” akcentował, że koronację przeprowadzono „bez wszelkiego wyroku i uchwały walnej”. O wspaniałej oprawie uroczystości, o frekwencji senatorów, wielmożów i ościennych książąt zdecydowała bynajmniej nie życzliwość czy miłość poddanych i postronnych dla Barbary, lecz wola i zaradność Zygmunta Augusta.

Piastom śląskim ponoć dobrze zapłacono za to, iż swą obecnością u-

HISTORIA NAJNOWSZA I

ANDRZEJ BLAJER

ZBRODNIA W MAJESTACIE PRAWA

Przed kilkunastoma dniami w całej prasie krajowej ukazała się krótka notatka agencji następującej treści:

„Waszyngton, PAP. Sędzia federalny June Green zwrócił się do rządu o wydanie mu najpóźniej do 15 listopada br. wszystkich dokumentów dotyczących sprawy Rosenbergów, znajdujących się jeszcze w dyspozycji rządu. Śledztwo zostało wznowione na żądanie dwóch synów małżonków Rosenberg skazanych 22 lata temu na karę śmierci na krześle elektrycznym za rzekome szpiegostwo na rzecz ZSRR. Synowie Rosenberg twierdzą, że ich zdaniem treść tych dokumentów umożliwi rehabilitację ich rodziców”.

Tyle komunikat PAP. Czyżby więc sprawa, która przez długi okres czasu budziła światową opinię publiczną, a która kosztowała życie dwójga niewinnych ludzi, miała się wreszcie wyjaśnić? Choć na definitywną odpowiedź na to pytanie przyjdzie nam jeszcze trochę poczekać, warto chyba już teraz poświęcić tej niezwykłej i zarazem tragicznej sprawie, nieco uwagi.

„Dyrektor FBI, J. Edgar Hoover, siedział za swoim biurkiem w gmachu Ministerstwa Sprawiedliwości przy Pennsylvania Avenue i studiował ściśle tajny raport. Z zawartych w nim informacji wynikało, że agenci obcego mocarstwa wykradli najsłynniejszą tajemnicę USA, tajemnicę bomby atomowej, jej konstrukcję i zapłon. Hoover gwałtownym ruchem chwycił słuchawkę telefonu wewnętrznego. W chwilę później jego najbliżsi współpra-

cownicy otrzymali szereg rozkazów i poleceń, a niebawem cała potężna machina FBI była już w pełnym biegu. Wiadomość była dla każdego z nich piorunująca: „Tajemnica bomby atomowej została wykradziona. Chwyćcie złodzieja!”.

Przerwanie ich było zresztą uzasadnione: od 1 stycznia 1947 roku odpowiedzialność za ochronę tajemnicy i „bezpieczeństwo” bomby atomowej nie spoczywała już na armii tylko na FBI. Sąd owo zdenerwowanie Hoopera w chwili, gdy dowiedział się co zaszło. „Przestępstwo stulecia” — tak to później określili.

Ludzie Hoopera jak szarańcza rzucili się na zakłady produkcji uranu w Los Alamos, niedaleko Santa Fe w stanie Nowy Meksyk oraz na inne zakłady pracujące dla potrzeb produkcji atomowej. Przeszukali archiwa i przedmiotowe akta personalne Komisji Energii Atomowej, przesłuchali też setki osób, którzy mogli im dostarczyć jakiegokolwiek, choćby najmniejszego punktu zaczepienia”.

Tymi słowami rozpoczyna swoją fantastyczną relację o wykradzeniu tajemnicy bomby atomowej Don Whitehead, autor często wymienianej, oficjalnej historii FBI („The FBI story”, New York 1956). Fantastyzacja? Określenie nieprzypadkowe. Opisywane wydarzenia działy się bowiem w 1949 roku, roku, w którym „zimna wojna” świeciła swoje największe triumfy, roku, w którym historia antykomunistyczna ogarnęła całe Stany Zjednoczone, a komisja McCarthy'ego badająca „prawowydność” Amerykanów była w swoim żywiole. Dotyczyła ona „zimna wojna”, ani atomowa dyplomacja nie

spełniły nadziei pokładanych w nich przez imperializm amerykański. Potrzebne były nowe posunięcia, które mogłyby zaostriżyć sytuację międzynarodową.

6 kwietnia tegoż roku prezydent Truman oświadczył: „Jestem gotów użyć bomby atomowej dla ustanowienia pokoju (!) na świecie”. I dwa dni później powstał Pakt Atlantyczny, którego ostrze skierowane było przeciwko ZSRR i innym państwom socjalistycznym Europy.

Histeria antyradziecka przybrała wówczas takie rozmiary, iż nawet najwyższe postawione osobistości administracji USA nie rozróżniały między historią propagandy a rzeczywistością. Z okrzykiem „Rosjanie nadchodzą!” minister obrony James V. Forrestal 22 maja 1949 roku wyskoczył z okna XVI piętra sanatorium, w którym przebywał, a czolowe osobistości wojskowe USA omawiali zupełnie jawnie ewentualność rozpoczęcia „wojny prewencyjnej” przeciwko Związkowi Radzieckiemu”.

I oto w tej atmosferze psychotycznej wojennej z ZSRR rozmiarła wiadomość o przeprowadzonej tam w ostatnich dniach sierpnia 1949 roku udanej próbie eksplozji bomby atomowej. Można sobie wyobrazić piorunujące wrażenie, jakie ta wiadomość wywarła na czolowych przedstawicieli życia politycznego USA. Zmieniło to całkowicie globalną sytuację strategiczną. Stany Zjednoczone przestawały być odąd jedynym mocarstwem atomowym na świecie, atomowa dyplomacja traciła swój dotychczasowy sens, a wszystkie plany zmierzające do rzucenia ZSRR na kolana czy to na drodze militarnej czy dyplomatycznej rozwijały się jak mgła.

Należy również pamiętać, iż jedna z głównych tez imperialistycznej propagandy powoływała się zawsze na nieograniczoną przewagę amerykańskiej nauki i techniki nad możliwościami socjalizmu w tych dziedzinach, trzeba było więc za wszelką cenę usprawiedliwić tę fikcję przed światową opinią publiczną i społeczeństwem amerykańskim, zwłaszcza wobec faktu udanej próby ZSRR z bombą atomową. Tak narodziło się owo wielkie kłamstwo, iż Rosjanie wykradli amerykańską tajemnicę bomby atomowej. Aby zaś cała sprawa wyglądała wiarygodnie, potrzeba było oczywiście „atomowych szpiegów”. Rozpoczęto więc zakrojone na

wielką skalę, gorączkowe poszukiwanie odpowiednich ofiar, którym można by przypisać zarzut „kradzieży tajemnicy”. Polowanie na wymyślonych szpiegów zakończyło się 18 czerwca 1950 roku, tj. w dniu w którym aresztowano Juliusza Rosenberga. 12 sierpnia agenci FBI uwięzili również jego żonę, Ethel i tego dnia zaczął działać aparat sprawiedliwości, za pośrednictwem którego amerykański imperializm miał zarażać na utracony przez siebie monopol atomowy.

„Sprawa Rosenbergów” trafiła na wyjątkowo sprzyjający klimat do wytoczenia im procesu o zdradę stanu. Oto kilka tygodni przed ich aresztowaniem rozpoczęła się amerykańska agresja w Korei. Fala szowinistycznej propagandy była teraz uzupełniana sensacyjnymi relacjami o konieczności obrachunku z „atomowymi złodziejami”.

Kim było tych dwoje ludzi, którzy mieli się stać ofiarami tej potwornej mistyfikacji?

Ethel Greenglass, urodzona w 1916 roku i Juliusz Rosenberg urodzony w 1918 roku pochodzili z Lower East Side — jednej z najuboższych dzielnic Nowego Jorku. Choć chodzili do tej samej szkoły, poznali się dopiero w 1936 roku.

Ethel pracowała w biurze. Jej marzeniem było zostać aktorką i piosenkarką. Było to jednak marzenie nie do zrealizowania z powodu braku pieniędzy. Często śpiewała dla strajkujących robotników, a także na miżynach na rzecz poparcia zagrożonej przez faszystów republiki hiszpańskiej.

Juliusz ukończył w 1939 roku uniwersytet techniczny, uzyskując dyplom inżyniera elektronika i w tym samym roku poślubił Ethel Greenglass. Ich polityczna działalność rozpoczęła udziałem w wystąpieniach w obronie republiki hiszpańskiej wyrażała się również w pomocy udzielanej bezrobotnym i niewinnym skazanym, odbywającym karę więzienia robotnikom. Niewątpliwie już wówczas w archiwum FBI Rosenbergowie musieli mieć swoje dossier. Świadczy o tym zresztą późniejsze przesłuchania, w których nieraz pytano o szczegóły ich działalności w okresie przedwojennym. Juliusz pracował najpierw w małych firmach, dopóki nie otrzymał posady w nowojorskim przedsiębiorstwie pracującym na potrzeby rządu. W okresie wojny, w 1943 roku, Rosenbergem urodził się syn

Michael. Jak wielu Amerykanów, Ethel i Juliusz krytycznie wyrażali się o polityce rządu zwleknięcia z otwarciem „drugiego frontu”, i nie robili żadnej tajemnicy z podziwu, jaki żyłli dla ogromnego wysiłku militarnego Związku Radzieckiego.

Z chwilą, gdy władzę objął prezydent Truman, nastąpiła zdecydowana zmiana kursu w amerykańskiej polityce zagranicznej. Dalo się to również odczuć w polityce wewnętrznej. Kto w jakikolwiek sposób wyrażał sympatię dla Związku Radzieckiego, nie mógł liczyć w erze McCarthy'ego na pracę w służbie rządowej. Juliusz Rosenberg został więc zwolniony, a jako uzasadnienie dla tej decyzji podano, iż stwierdzono u niego prokomunistyczne sympatie. Firma elektroniczna, w której był zatrudniony, nie chciała jednak zrezygnować z wysoko kwalifikowanego inżyniera i zatrudniła go nadal, ale tylko przy realizacji zamówień, które nie były przeznaczone na potrzeby rządu. Przedsiębiorstwo to nie miało jednak nie wspólnego z realizacją projektu amerykańskiej bomby atomowej. Kiedy w końcu 1945 roku sytuacja ekonomiczna firmy uległa pogorszeniu, Juliusz Rosenberg musiał rozzerzeć się za inną pracę. Wówczas zajął on wraz z dwoma braćmi swojej żony i znajomym, który wniósł kapitał, mały warsztat mechaniczny. Jeden z owych dwóch braci, David Greenglass, przyeznił się m. in. do losu, jaki stał się udziałem małżeństwa Rosenbergow.

Marzeniem Davida było zostać naukowcem, ale kiedy egzamin kończył się fiaskiem. W warsztacie pracował bez entuzjazmu i niedbale. Tymczasem trudność związane z zakupami surowców mnożyły się, a brak stałych dostaw spowodował, iż na początku 1949 roku zakłady finansowe stały się większe niż osiagane zyski. Właściciel kapitału oświadczył wówczas, że będzie odtąd współpracował jedynie z Juliuszem Rosenbergiem, który jako jedyny może utrzymać warsztat na powierzchni. W ten sposób David Greenglass i jego brat, Bernhard, zostali zwolnieni z firmy. Ruth Greenglass, żona Davida, była tym gorzko rozczarowana. Zawsze miała nadzieję, iż jej mąż będzie profesorem lub dyrektorem dużej firmy, tymczasem zaś musiała gospodarować skromną pensją służarza. Wina za swój los obarczyła Juliusza Rosenberga, kierownika warsztatu.



GRZEGORZ TIMOFIEJEW

Grzegorz Timofiejew urodził się 11 marca 1908 roku w Łodzi. Wykształcenie średnie zdobył w znanym z wysokiego poziomu pedagogicznego Męskim Gimnazjum Miejskim. Studia filologiczne ukończył na Wydziale Humanistycznym Uniwersytetu Warszawskiego w roku 1935, uzyskując dyplom magistra za rozprawę pt. „Literatura rosyjska a Żeromski”.

Debiut poetycki Timofiejewa związany jest z powstaniem grupy literackiej „Meteor”, której był współzałożycielem wspólnie z Marianem Piechalem i Kazimierzem Sowińskim. W pedagogowym przez grupę w roku 1928 własnym organie literackim, noszącym ten sam tytuł, ukazują się pierwsze wiersze poety, a pierwszy tomik poetycki, zatytułowany „Nie ma mnie w domu” wychodzi w „Bibliotece Meteora” w roku 1930.

Następne lata przynoszą plony pracy dziennikarskiej i publicystycznej. W latach 1930–31 wspólnie z M. Piechalem redaguje Timofiejew łódzkie czasopismo literackie „Prąd”, zajmując się na jego łamach głównie krytyką literacką i teatralną. W roku 1935 wydaje drugi tomik poezji pt. „Inny horyzont” — efekt doświadczeń wyniesionych z działalności prelegentko-oświatowej w ramach Towarzystwa Uniwersytetu Robotniczego (TUR).

„Inny horyzont”, w odróżnieniu od debiutanckiego tomu, reprezentatywnego dla liryki osobistej, ukierunkowanej nostalgicznie na stronę „kraju lat dziecięcych” — Rosji, jest odzwierciedleniem tendencji, które zwykliśmy zaliczać do liryki społecznej. Pobrzmiewają w wierszach Timofiejewa echa poezji „Skamandra” i poezji proletariackiej Wł. Broniewskiego.

Problemy społeczne i polityczne, przewijające się przez twory tomiku, rozpatrywane są tutaj z pozycji twórcy walczącego o poprawę świata i międzyludzkie stosunków w imię sprawiedliwości społecznej i szczęścia jednostki.

Oba tomiki, w sposób artystycznie udany, są prezentacją założeń tzw. konstruktywnego metaforyzmu, formalnego programu „Meteora”, głoszonego głównie przez M. Piechala.

Łatwość operowania metaforą i wielka umiejętność konstruowania metafor w dowolne łańcuchy kompozycyjne nadawały wierszom Timofiejewa konsekwentny, celowy, wręcz rygorystyczny schemat formalny.

Etap międzywojenny poetyckiej twórczości Grzegorza Timofiejewa charakteryzuje się wielką sympatią do „Skamandra”, uległością wobec polskich wielkich romantyków oraz dużymi wpływami literatury rosyjskiej, głównie imażynistów rosyjskich.

Krótko przed wybuchem wojny w łódzkim środowisku literackim zostaje podjęta kolejna próba stworzenia czasopisma literackiego. G. Timofiejew wspólnie z Tadeuszem Sarneckim powołują do życia miesięcznik „Wymiar”. Od kwietnia 1938 roku do lipca 1939 r. ukazało się 12 numerów pisma. Numer trzynasty, mający się pojawić we wrześniu 1939 roku, mimo że był złożony i wydrukowany, nigdy nie ujrzał światła dziennego. Cały nakład zaginął w zawierusze wojennej. Podobnie jak w „Prądach”, tak i w „Wymiarach” zajmuje się Timofiejew głównie krytyką literacką i teatralną. W stałym dziale pt. „Przed oknem księgarni” zamieszcza poeta krótkie recenzje nowości wydawniczych.

Wybuch wojny krzyżuje plany wydawnicze redaktora „Wymiarów”. Nie ukazało się, zapowiedziane już w prasie literackiej nowe tomiki Timofiejewa: „Najbliższe...” i „Chwile”. Niektóre wiersze z planowanych zbiorów wraz z utworami wydanego konspiracyjnie w roku 1942, wspólnie z T. Sarneckim, tomiku pt. „Spiew w podziemiach” znajdują się w składzie powojennych utworów autora „Wierszy wybranych” (1961).

W okresie okupacji uczestniczy Timofiejew czynnie w pracy konspiracyjnej Związku Walki Zbrojnej redagując „Biuletyn Kujawski”, a w roku 1940 tajny dodatek literacki do „Biuletynu...” pt. „Tyrtę”. Zamieszczał w nim wiersze i artykuły, dokumentując swoim piórem istnienie, w tych trudnych latach, polskiej literatury i polskiego życia kulturalnego. Aresztowany w roku 1943, zostaje wy-

wieziony do obozu koncentracyjnego, najpierw do Oświęcimia, a potem do Gusen, gdzie przebywa do wyzwolenia.

Najcenniejszą pozycją w dorobku poetyckim G. Timofiejewa jest opublikowany po wojnie (1946) tom wierszy z obozu i konspiracji zatytułowany „Wysoki płomień”. W skład zbioru weszły niektóre utwory, zamieszczone w „Spiewie w podziemiach”, „Tyrtęju” oraz wiersze pisane w obozie koncentracyjnym i bezpośrednio po uzyskaniu wolności.

Głęboko humanistyczny i moralistyczny ton poezji „Wysokiego płomienia”, wysoki stopień oryginalności i indywidualności w potraktowaniu twórczym literackiego, prostota środków wyrazu doskonale dostosowana do surowej rzeczywistości, wreszcie poprawność formalna — to czynniki stanowiące o dużej wartości artystycznej lirycznej spowiedzi konspiracyjnej i więźnia obozów zagłady.

Po wyzwoleniu kontynuuje G. Timofiejew swoje starania o zorganizowanie w Łodzi literackiego pisma regionalnego. Współpracuje również z licznymi czasopismami literackimi w kraju. W latach 1943–46 prowadzi dział literacki „Pobutki”. W ciągu roku 1947 i 48 jest stałym łódzkim korespondentem „Robotnika”. W latach pięćdziesiątych (51–52) współpracuje z pismem „Wies”. Przez trzydzieści kilka lat nieprzerwanie posyła swoje artykuły do chełmsko-lubelskiej „Kameny”. W roku 1954 pełni funkcję sekretarza „Łodzi Literackiej”.

Nie przerywa również pracy literackiej. Wydaje kolejne tomy wierszy: „W stronę jutra” (1954), „Wiersze dla dzieci” (1957), „Gorycz wierzby” (1958), „Wiersze wybrane” (1961).

U schyłku życia Timofiejew-poeta przeraża się w Timofiejewa-prozaika. Powstaje wstrząsająca opowieść o obozie koncentracyjnym Gusen i pt. „Człowiek jest nagi” (1960) oraz cykl utworów autobiograficznych, mający w zamiarze autora ukazać życie kulturalne Łodzi od czasów międzywojennych po współczesność. Przedwczesna śmierć (3 października 1962) pokrzyżowała ambitne plany. Ukazały się drukiem tylko dwie książki: wspomnienia autobiograficzne pt. „Miłość nie zna zniechęcenia” (1959) obejmujące swą treścią lata międzywojenne oraz wydany pośmiertnie w 1964 r. zbiór opowiadań o działaczach PPS, połączony z niedokończonymi szkicami o pierwszych latach powojennej Łodzi — „Truźna wolność”.

Aby obraz sylwetki pisarza był pełniejszy w., przywołać tutaj i prace translatorskie Timofiejewa (przekłady z literatury rosyjskiej, głównie L. Tolstoja oraz radzieckiej), jak również jego działalność społeczną i organizacyjną w różnych instytucjach kulturalnych i administracyjnych Łodzi. Pracuje Timofiejew w l. 1947–51 jako kierownik literacki teatru „Osa”, równocześnie pełni odpowiedzialne obowiązki w Wydziale Kultury R. N. m. Łodzi, a w latach 1952–53 piastuje funkcję wiceprezesa Oddziału Łódzkiego Związku Literatów Polskich.

Poezja, proza, publicystyka literacka, dziennikarstwo, działalność organizacyjna w sferze życia kulturalnego Łodzi, wreszcie działalność społeczno-polityczna w organizacjach związkowych i partyjnych naszego miasta dają świadectwo wszechstronności zainteresowań i działań Grzegorza Timofiejewa. Nie był może wielkim poetą i prozaikiem ale wszystko, co napisał, nosi piętno rzetelnej roboty, potwierdza fachowość przygotowania, jest wyrazem indywidualnego stosunku twórcy do otaczającego świata, transpozycja jego myślenia i lirycznym przetworzeniem jego doznań, które potrafił ubrać w słowa, trafiające swą wymową, do szerokiego kręgu czytelników. Był pisarzem popularnym, znanym i cenionym.

W uznaniu jego zasług, ocenając całokształt działalności twórczej pisarza Rada Państwa nadała Grzegorzowi Timofiejewowi w r. 1960 Krzyż Oficerski Orderu Odrodzenia Polski a Wojewódzka Rada Narodowa w Łodzi przyznała mu w r. 1961 nagrodę literacką.

JERZY GOS

O czterech tomach powieści Władysława Machejki „CZEKAM NA SŁOWO OSTATNIE”¹⁾ nie można napisać recenzji z dwóch powodów. Po pierwsze, otrzymaliśmy dzieło nie zamknięte, jak sugeruje wydawca można oczekiwać na następne tomy Machejki-owej sagi. Po drugie, i to ma rzeczywiste znaczenie, książka Machejki ze względu na swój temat i niespotykany rozmach, nie poddaje się recenzenckim miarkom. Trzeba jej uwagi historyka współczesności czy polityka kultury lub biegunowo odmiennie: refleksji zwykłego czytelnika. Z tej jedynie pozycji zabieram głos, by podzielić się wrażeniami z lektury bliskiej mi poprzez osobę autora, jego metodą twórczą i — co najistotniejsze — postawą ideową i polityczną.

Wymienione powody właściwie nie wymagają uzasadnień, ale nie piszę tych słów dla wytrawnych znawców literatury współczesnej. I dlatego wspieram je, w maksymalnym skrócie, informacjami z biografii pisarza.

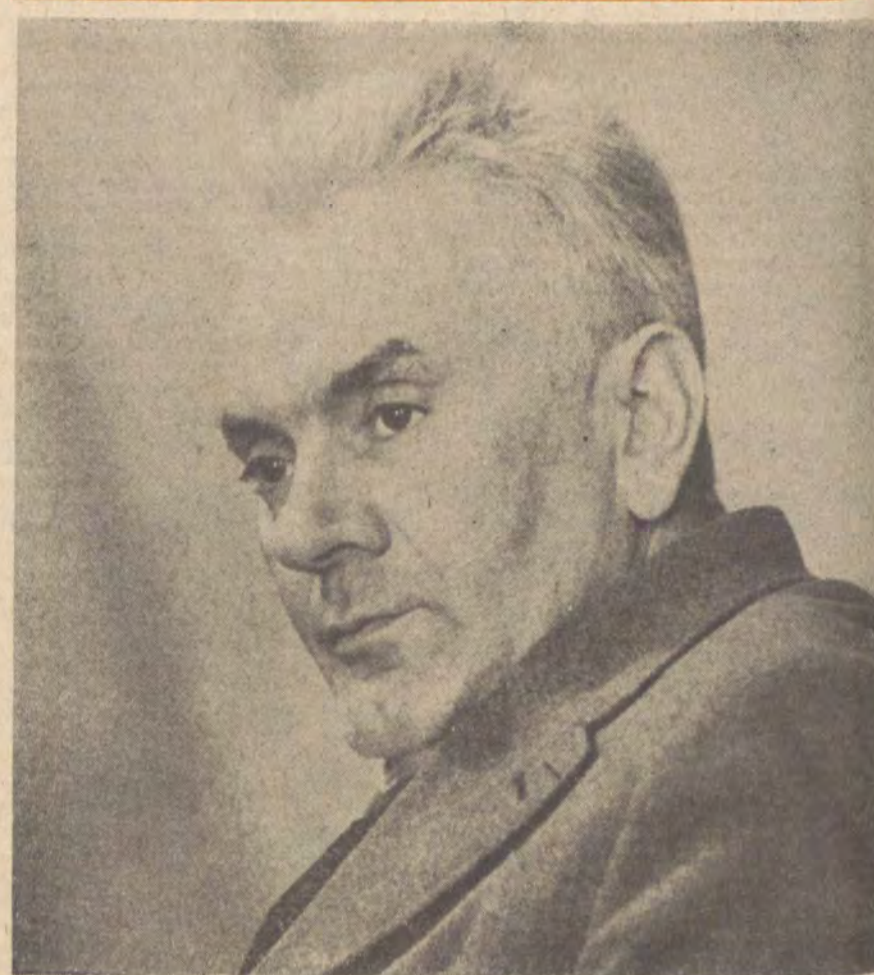
Władysław Machejek, urodzony w 1921 roku, z chłopów miechowskich, metrykalnie rówieśnik pokolenia „Kolumbów”, już w 1936 trafił do Komunistycznego Związku Młodzieży Polskiej, dokonując wyboru ideowego na całe życie. W czasie okupacji partyzant Armii Ludowej, po wojnie I sekretarz Komitetu Powiatowego w Nowym Targu, później działacz polityczny i od ćwierćwiecza redaktor naczelny „Życia Literackiego”. A więc człowiek, którego biografia, zajmowana pozycja w życiu społeczno-politycznym (na szczeblu dostatecznie wysokim, by wiedzieć dużo, a jednocześnie chodzić po ziemi) niejako „upoważniła” do podjęcia próby pokazania naszego ludowego trzydziestolecia. Próby, podkreślmy, o charakterze całociowym, sumującym. Niewielu, moim zdaniem, jest pisarzy (może trzech, pięciu?), którzy by w całym trzydziestolecu byli nie tylko świadkami (takich nie brak), ale aktywnymi uczestnikami przemian, na które swą postawą wpływali, i którym w jakimś stopniu musieli ulegać. Tak przecież bywa zawsze i w ogóle, kiedy człowiek odrzuca postawę outsidera.

Wspomniałem także o metodzie twórczej Władysława Machejki. Krytycy jego prozy unikają tego tematu, styl i forma jego utworów gorszy zwolenników literatury jako zbioru pięknych słów, harmonii, klarownej elegancji, uładzenia i uporządkowania świata realnego i towarzyszącej mu refleksji. Z tego punktu widzenia mają rację bo proza Machejki to tygiel, w którym gotują się najrozmaitsze ingrediencje, nie zawsze o wytwornym smaku i zapachu. Ale to surowce będące częścią składową świata naturalnego, bez żadnych erazców, namiastek i importowanych pachnidel. Otrzymujemy w efekcie potrawę, nad którą trudno cmokać w zachwycie, nie wzbudza ona także zbytnych wruszeń estetycznych, ale jest posilną jak razowiec lub chłopskie prażuchy — i co najważniejsze — jest zdrowa dla organizmu.

Nie chce przez to powiedzieć, że Machejek jest „naturalistą”, z grubszą obrabiającym fakty i komponującym je w banalne, schematyczne struktury, powielone w dwudziestu kilku książkach. Bo jeśli ma się odrobnie cierpliwości i dobrej woli, w „zgrzebności” prozy Machejki nie trudno dostrzec bogactwo języka swobodnie wstępującego na różne piętra metaforyki: poezję rzeczy i zdarzeń zwykłych i prostych, kapitalne skróty myślowe, które rozbylskują jak żyły metalu w magmie rudy. Wreszcie dialog, oozornie nieuporządkowany, chaotyczny, nieraz stwarzający wrażenie automatycznego bełkotu, a który w istocie rzeczy jest autentycznym zapisem stanów emocjonalnych, krańcowo euforycznych i depresyjnych, czasami rozwichrzonych psychicznie, jakim zwykłe bywa język ludzi żyjących w warunkach wielkiego i stałego przeciążenia.

I wreszcie postawa ideowa i polityczna. Pisarz Machejek jest tym samym Machejkiem — działaczem, komunistą, patriotą, wiernym bojownikiem idei, wrażliwym na jej niedoskonałości w praktycznej realizacji, czuły na niesprawiedliwość i krzywdę ludzką, niezależnie od wyższych racji i intencji: człowieka, którego wiary nie może zachwiać, żadne owacje i przeciwności zmiennych okresów historii, reprezentujący postawę szczytnej i ostatecznej optymistycznej Wiary, dodam dla jasności, racjonalną, jako wypadkową historycznej świadomości po leninowsku traktowanych dziejów, rozumienie istoty pragnień narodu i jego klas najbardziej doświadczonych, widząca cele najważniejsze w perspektywie twórczego pokolenia i jego naj-

SŁOWO WŁADYSŁAWA MACHEJKA



bliższych następców. A więc mająca wymiar „praktyczny” ludzki, sprawdzalny i służebny, a nie będąca fantazją przyszłości poza zwykłą miarą czasu.

Te wszystkie elementy pisarstwa Władysława Machejki w jego ostatniej powieści-rzecz stały się wartością szczególnie znaczącą, jako efekt rzadko spotykanej konsekwencji zarówno metody twórczej jak i postawy wobec współczesności, gorącej, zmiennej, podlegającej tylko cząstkowym weryfikacjom politycznej i uczynnych. Prawem i obowiązkiem, czy raczej prawem do ryzyka artysty jest, nie mając wsparcia w czasowej perspektywie, literacka w tym wypadku, interpretacja zjawisk jeszcze nie uporządkowanych, nie prześwietlonych na wszystkie strony, czasami jeszcze zanurzonych w naszej świadomości jak góry lodowe w morzu. Poczucie obowiązku i wyższej konieczności każe artyście, który uważa się za sługę społeczeństwa, takie ryzyko podnieść, nawet gdyby ześliznął się na manowce subiektywizmu.

Jak w moim odczuciu powiodło się Władysławowi Machejkowi? Odpowiem od razu, że nikt inny nie wyszedłby z tak poważnej próby bardziej obronna ręką. To na razie uklon, może efekt emocjonalnego traktowania lektury. (Jeśli jednak nie traktujemy również emocjonalnie literatury, lepiej dajcie sobie z nią spokój). Szukajmy więc argumentów, a raczej wybierzmy je pomijając oczywistości.

Bohater powieści, Wiktor, to w jakimś sensie alter ego autora. Machejek hojnie czerpie ze swej obserwacji uczestniczącej i własnej biografii. Lecz przestrzegałbym czytelnika przed piaskim autobiografizmem, czym mógłby pisarzowi, a nie pamiętnikarzowi, wyrządzić łatwo krzywdę. Zwracam tylko uwagę, że Wiktor, bohater powieści, postać stworzona z krwi i kości talentem autora, jest egzemplifikacją losu całego pokolenia polskich komunistów, symbolem słusznej postawy, niezłomnie optymistycznej, konsekwentnej aż do samozatrącenia. Jest to postać żywa i bliska nam, ale (co nie jest wcale zaprzeczeniem) także monolityczna i jednomyślna, ubrana w autorski uniform chorążego idei i reprezentanta prawd, które prędzej czy później muszą zwyciężyć. Myślę jednak, że z takim założeniem autorskim trzeba się pogodzić, bo od czasów Balzaka lepszemu sposobu nie wymyślono.

Siedźmy więc, uzbrojeni w to przeświadczenie, na tyśiąc dwustu stronach losy bohatera, jego czyny, myśli, jego wloty i upadki, sukcesy i beznadziejną szamotaninę drogę prostą i kluczenie po ciemnych za-

ułkach i zdajemy sobie sprawę, że nie chodzi o Wiktora. To nie on, powieściowy bohater, ale nasi ojcowie, bracia, my sami, uczestniczący w tworzeniu nowej rzeczywistości. Odrzucając przeszłość, kamufłasz Wielkiego Miasta, Wielkiej Budowy, to my walczymy z bezwzględnym wrogiem i podejrzliwością we własnych szeregach, żyjemy ciężko, po pioniersku, budujemy zrebry w znoju nieprawdopodobnym, bijemy głową o mur, a odniesione zwycięstwa mają smak popiołu.

Nie wiem jak odbiorą książkę czytelnicy, którzy w lata czterdzieste weszli jako ludzie dojrzały, uczestniczący świadomie w życiu tamtych lat. Ja tę pierwszą dekadę (1944–54) znam raczej z lektur, dokumentów, ustnych przekazów, ale mam głębokie przekonanie o uczciwości Machejkowej powieści. Przez uczciwość pisarską rozumiejąc nie tylko opisanie „jak było naprawdę”, ale też wielką sztukę rozumienia czasu, jego surowych nieraz praw, które łatwiej teraz sądzić niż rozumieć. Obrazu tego świata w całym jego splątaniu siusznego z niesłusznym, nie da się przedstawić w sposób chłodno racjonalny bo nie sposób wyważyć jakże płynnych racji. Można go tylko zarejestrować czułą wrażliwością, z miłością i nienawiścią, akceptować i odrzucać, w sumie oddać sprawiedliwość i wzbogacić się o wypływające z dobrych i złych doświadczeń nauki. I tak właśnie postąpił autor, bez patosu, który zakradł się w moje refleksje.

I jeszcze uwaga na zakończenie. „Czekam na słowo ostatnie” Machejka, podobnie jak utwory Jerzego Putramenta, Romana Bratnego, Tadeusza Holuja i wielu innych pisarzy o ambicjach tworzenia literatury zaangażowanej politycznie, świadczy o możliwościach pełnego rozwoju tego gatunku. Poczucie odpowiedzialności za słowo funkcjonujące w obiegu społecznym nie może krepować dysponentów życia politycznego w zakresie kultury. Ich poczucie odpowiedzialności towarzyszy również odpowiedzialność twórców, ich może nie zawsze słuszne oceny, ale uczciwe w zamysłu, może nie wyważone po aptekarsku, ale sercem pisane, afirmatywne w swym krytycznym patrzeju; w sumie potrzebne społeczeństwu w rozwoju jego samowiedomości pomocne choćby o jeszcze jedno zamyslenie, odwieczne pytanie: skąd orwzszliśmy, gdzie jesteśmy, dokąd idziemy?

JERZY WAWRZAK

¹⁾ Władysław Machejek: CZEKAM NA SŁOWO OSTATNIE. Wydawnictwo Literackie 1975. Tom I–IV. Cena 130 zł w pl. opr. Nakład 15 tys. egz.

ANDRZEJ MAKOWIECKI
KOMU GAJÓWKĘ?

Niedaleko Susza spłonęła pod lasem gajówka. Młody czasownik przyszedł do domu pijany i zasnął z papierosem. Ludzie wspominają, że kiedy pożar rozchłapał się na dobre, tego już poparzony, krztuszący się od dymu chłopak wyskoczył przez okno na podwórko. Niewiele to dało: w dwa dni później zmarł w szpitalu, stając się w ten sposób jedyną ofiarą własnej lekkomyślności.

Fakt ten wstrząsnął miejscową ludnością. Szkoda chłopaka, ale szkoda również gajówki. Miał się do niej niebawem wprowadzić młody, wykształcony leśnik z dyplomem inżyniera. Kilkanaście miesięcy minęło od chwili nieszczęścia, a remont gajówki, która przecież wypaliła się tylko od środka, ciągle jeszcze tkwi w miejscu.

Opinia publiczna, której nie jest obojętna sprawa mazurskich lasów, nie kryje zaniepokojenia. Niezadowolenie udziela się także niektórym leśnikom. Nie chodzi, rzecz jasna, o tę jedną gajówkę. Chodzi w ogóle o klimat, jaki panuje w leśnej branży.

Tu, na Warmii i Mazurach, w okolicach pięknych, zasobnych w lasy i wodę, pewnie nieprawidłowości wyraźnie rzucają się w oczy. Złe jest, kiedy ludzie szepczą sobie na ucho, że wiele stojących w lesie gajówek przechodzi w ręce różnych instytucji i osób prywatnych, które z leśnictwem nie mają wspólnego. Dlatego nadleśnictwa tak beztrudno pozbywają się swoich przyczółków.

Wysuwa się argumenty, że współczesny leśnik to przede wszystkim urzędnik i producent drewna. Czasami, kiedy krążyło się po lesie z fuzją na ramieniu, należało już do przeszłości. Niekoniecznie trzeba mieszkać w lesie, aby wypisywać papierki i wyznaczać tereny pod zrab. Równie dobrze można mieszkać we wsi albo nawet — jeszcze lepiej — w mieście. W niektórych miastach mazurskich planuje się budowę całych osiedli,

gdzie będą mieszkać pospółu drwale, technicy i inżynierowie leśnictwa (oczywiście wraz z rodzinami). Będą sobie mieszkać, co zaś się tyczy pracy, to na osiem godzin dziennie zawozić ich będą do lasu ciężarowe samochody.

Gajówki nie są już potrzebne (?). Niejedyn leśnik rezygnuje z gajówki na rzecz chaty we wsi. Władze kupują czy też dzierżawią takie chaty (albo nawet domy) bez długiego namysłu; mają na te cele dużo pieniędzy. Hasło: Skoszarować leśników — we wsiach i miastach — doczeka się zapewne szerokiej realizacji.

Jeden z leśników mówi:
— To, że wybrałem ten zawód, nie jest dziełem przypadku. W dzieciństwie mocno zapadł mi w pamięć nazywany, a także chyba podejrzany na filmach obraz człowieka przemierzającego leśne bezdroża; człowieka, który służy przyrodzie, pielęgnując drzewa, chroniąc rośliny i ptaki, dokarmiając zwierzęta w czasie śnieżnej a mroźnej zimy. Zapadł mi w pamięć obraz domu pośród ciszy; bujający kominek, myśliwskie trofea na ścianach, susząca się na sznurach bielizna... To bardzo piękne. Życie i lata weryfikują jednak te wspomnienia. Trzeba pamiętać, że dzisiejszy leśnik poważnie różni się od swego prawzoru. Ze średnich i wyższych szkół leśniczych wychodzą wykształceni młodzi ludzie, których potrzeby nie ograniczają się do bytowania w ustroniu. Chcemy zachować kontakt ze światem, z cywilizacją i kulturą. Takie sprawy jak kino, teatr czy dobra literatura, nie są nam obojętne. W leśnictwie występuje obecnie duży deficyt siły roboczej i znaczny spadek zainteresowania zawodem. Brak nie tylko drwali, ale również kadry kierowniczej. Jednym z powodów jest właśnie stan gajówek, do których mamy wprowadzić się po dyplomie. Człowiek przyzwyczaił się do tego, że ma w domu czy też w internacie podstawowe wygody: toa-

letę, łazienkę, elektryczność i gaz. Gajówki jednak nawiązują pod względem zaplecza sanitarnego i innych udogodnień do zamierzchłego średniowiecza. Czyta się przy świecach, za potrzebą wychodzi się do tak zwanej sławki, kąpiel odbywa się w balii. Jeśli nawet toleruje ten stan rzeczy mężczyzna, kobieta zawsze będzie się buntować. Powie taka:

— Wyszedłam za leśnika, a nie za dzikusa. — Nasze żony też mają ambicje kulturalne. Nie wszystkie ograniczają się do pracy w domu i wychowywania dzieci. Są pielęgniarkami, nauczycielkami, urzędniczkami i chcą mieszkać w godnych warunkach. Wszystko to przemawia pozornie za ideą osiedlania leśników we wsiach i miastach, pośród ludzi. Ja jednak nie zgadzam się z tą koncepcją. Nie zgadzam się również z nowym „modelem” leśnika, a więc człowiekiem, który w lesie bywa tylko osiem godzin dziennie — robi swoje, a potem wraca do miasta i oddaje się zajęciom ubocznym. Taki człowiek nigdy dobrze nie pozna lasu, nigdy go naprawdę nie zrozumie i nie pokocha. My, leśnicy, powinniśmy mimo wszystko być w miejscu, w gajówkach. Ale te gajówki powinny zostać gruntownie zmodernizowane; już nie mówię o gazie i świetle; niezbędnym minimum, lecz o łazienkach i ubikacjach...

Niektórzy leśnicy nie podzielają tego punktu widzenia. Jest im po prostu wygodnie nie podzielać; wolą rozkosze miasta od rozkoszy natury, swój zawód traktują tylko jako pracę, a nie powołanie.
Szkoda.
Wydaje się, że cierpi na tym las. Doświadczony człowiek powiada, że stan mazurskich lasów uległ ostatnimi laty wybitnemu pogorszeniu. Wprawdzie oficjalne komunikaty i doniesienia prasowe brzmią nad wyraz optymistycznie: liczba drzew wyciętych jest z reguły zdominowana przez liczbę drzew posadzonych, mamy zatem przyrost drzewostanu. Cieszymy się! Jest dobrze.
Leśnicy słuchają tych doniesień z przekornym uśmiechem. Przecież wiedzą, że nie jest dobrze. Już nie chodzi o pożary, sporadyczne wypadki klusownictwa i kradzieży drzew. Nie chodzi o zanieczyszczenie lasów

przez biwakujących rodaków, choć to, oczywiście, także drażni — butelki, niedopałki, papiery, galgule polamane na ognisko, zdeptane albo nawet zjechałe samochodami szkółki... Troskliwy gospodarz nigdy by do takich zniszczeń nie dopuścił. Troskliwy, mieszkający nie w mieście czy we wsi, a w lesie, gospodarz, który codziennie obchodzi albo obejżda swój teren, widzi każdą zadaną ranę — zniszczony kopic mrówek, odrapaną korę, zrabane, przygotowane do kradzieży o zmroku drzewo. Ale sedno zła nie leży w tych pojedynczych wypadkach nieuczciwości i bezzysłości. Szwankuje po prostu ogólna polityka leśna. „Miejscy” leśnicy idą bardzo często po najbliższej linii oporu, a kompetentne władze wcale im w tym nie przeszkadzają.

— To jasne — mówi jeden z moich rozmówców — że podstawowym zadaniem leśnictwa jest dostarczenie krajowi odpowiednich ilości drewna. Ale nie można myśleć tylko o dniu dzisiejszym. Nieraz się słyszy: „Na pięćdziesiąt lat to i tak lasów wystarczy, a potem, to nas nie będzie na świecie”. Ale będą przecież nasze dzieci i wnuki. Im też będzie potrzebny las do wypoczynku i drzewo do celów przemysłowych. Nie wolno myśleć tak egoistycznie. A przecież jest to myślenie niemal powszechne. Nietrudno o przykłady, i to zarówno tu, w województwie olsztyńskim i elbląskim, jak i w pozostałych rejonach kraju. Zrębów dokonuje się jak leci. Ot, po prostu wyznacza się teren i ogolaga go do gołej ziemi, bo tak jest najwygodniej, najprościej i najszybciej. W ten sposób giną wysokie, potężne lasy, w których miejsce sady się wprawdzie nowe drzewa, ale proszę zobaczyć, jak one rosną... Pokręcone, skarlałe, słabe, nadające się z trudem na dyszel do wozu albo na podpałkę, bo równego stołu to się z czegoś takiego nie wycośa. Nie pielęgnuje się młodych lasów, nie trzeba, nie czyści.

Pytam:
— Jak należałoby prowadzić prawidłowy, to znaczy — najpomysłniejszy dla lasów zrab?
Człowiek odpowiada:
— Jedynym wyjściem jest zrab selektywny, a więc taki, gdzie na danym obszarze wyznacza się do

ścięcia tylko niektóre drzewa. Las zostaje w ten sposób przetrzebiony, ale nie zlikwidowany. W takim przetrzebionym lesie świeżo posadzone drzewa mają wszelkie warunki do prawidłowego rozwoju, panuje w nim bowiem odpowiedni klimat, jest odpowiednia gleba, posyć, wszystko to, co składa się w ostatecznym efekcie na sukces.

Nie jestem specjalistą od spraw leśnych, przynajmniej jednak, że wiele argumentów zdecydowanie trafia mi do przekonania.

Ludzie mówią:
— Jeśli pan posadzi na uboczu, powiedzmy — na swoim podwórku we wsi, parę młodych świerków, to choćby były to najzdrowsze okazy, nie zdoła ich pan wyhodować: wcześniej czy później uschną, gdyż brak im leśnych owadów, zwierząt, ptaków, bakterii, wzajemnego oddziaływania na siebie wielu czynników, których zależności nie są jeszcze do końca poznane. W nowo sadzonych lasach też z początku brak tego wszystkiego. Dużo lat musi upłynąć, żeby taki wzrastający las zdołał wykształcić odpowiedni mikroklimat; pierwsze pokolenia drzew będą zawsze nieudane, słabe, niskie. Z czasem natura da sobie radę, ale długi to będzie czas.

Przemierzyłem samochodem i pieszo wielkie połacie lasów na Mazurach, To, co zobaczyć można pod Suszem, Hawą, Mragowem budzi poważny niepokój. Lasy giną. Wysokopienne, dwusetnie laty spotkać coraz trudniej, coraz więcej wykarczowanych terenów, które przypominają cmentarzyska, i młodych, nieudanych kompleksów leśnych, z których nikt nie będzie miał większej pochyby.

Jak uchronić wielkie bogactwo narodowe przed zagładą?

Czy rzeczywiście reforma leśnictwa idzie w odpowiednim kierunku? Jaki model leśnika powinien obowiązywać? Człowiek, który żyje w lesie, czy też dojeżdżający na osiem godzin dziennie urzędnik, który mieszka we wsi lub w mieście?

Co robić, żeby zapewnić leśnictwu odpowiednią ilość rąk do pracy, i aby praca ta była wykonywana sumiennie, z troską?

OPOWIADANIE

ANDRZEJ SRCZYŃSKI
SPEŁNIONE SNY

Wyszedłem akurat z bramy redakcji na główną ulicę swego miasta. Stałem i patrzyłem na fałę ludzi przelewającą się po obydwu stronach trotuaru. Wszyscy bez wyjątku byli sympatyczni. Pewnie dlatego, że mnie było radośnie na duszy. W uszach brzmiała mi ciągle słowa redaktora naczelnego: — Wydrukujemy pana opowiadanie. Uważam, że jest dobre, a pan utalentowany.

Utalentowany! Co? Ze też narzeczona nie mogła tego słyszeć, ale mam pecha, jak już coś ustyszy to... no! Nie rozumiem po co dziewczynie gadać pewne rzeczy. Tym bardziej że każdy jest różny. Trochę taki, trochę taki. A tu raptem się okazuje, że i ślaski — czyli utalentowany! No, nie ma dwu zdań. Jest to śliczne słowo w odniesieniu do mnie. Taki redaktor naczelny z racji swego stanowiska ma patent na mądrość. A ja uważam że jest on bardzo mądrym człowiekiem. Zastanawiałem się skąd by tu zadzwonił do narzeczonej i od niechcenia rzucił jej w ucho radosną nowinę, gdy zauważyłem kobietę, którą wyraźnie mi się przyglądała. Powiedziałbym nawet natarczywie. Ki diabeł? Zdziwiłem się, ale na wszelki wypadek i z racji dobrego humoru uśmiechnąłem się do babiny, mimo że oszacowałem ją na lat około — sto dwadzieścia. Podeszła bliżej.

— Niech zdejmię kaszkiet — powiedziała takim tonem, do jakiego od lat jestem przyzwyczajony. Więc machinalnie zdjąłem czapkę.

— Rudy — stwierdziła. Mnie ręka z czapką opadała na głowę.
— Feliśsiak?
— Tak.
— Piotrek?
— Tak.
— Aleś chłopie wyróżsi!
Czego ona chce? Czyżby z policji? E, chyba za stara — pomyślałem i głośno powiedziałem (zły za tego rudego):
— Piętnaście lat proszę pani minęło, jak przestałem rosnąć.
— Tak, tak — uśmiechnęła się pokazując śliczne białe zęby. Ze zdumieniem spostrzegłem że twarz jej z tym uśmiechem stała się prawie młoda i jakos znajoma.

Zaczarowany dzień...
Kobieta zdjęła rękawiczkę i wyciągnęła do mnie dłoń.
— Żenia Zawadzka jestem. Koleżanka twojej mamy. Znam cię od małego smyka. Przypominasz sobie?
— A jakże. Oczywiście pamiętam. Obydwoje opuściliśmy oczy.
O Boże! Moja pierwsza w życiu kobieta!

Ocknęła się szybko i zadysponowała:
— Idziemy na kawę. Porozmawiamy. Tyle lat cię nie widziałam — i zniścała kaniem dłoń palnęła mnie w dółek. Opanowałem się.
— Służę pani.
Innego wyjścia z sytuacji nie miałam.

Weszliśmy do pobliskiej kawiarni. Szarmancko pomogłem się jej rozebrać z wyliniałego futerka. Usiedliśmy przy stoliku.
— Co pijemy — spytałem.
— Kawę koniecznie, a że to takie spotkanie, to pal szesć wątrobę i ciśnienie — dwa koniak! też.

„Jezu baba szaleje”. W myślach rachowałem błyskawicznie: Dwa koniaki minimum siedemdziesiąt złotych, kawy po osiemnaście to jest trzydzieści sześć. Szatnia? Dychy braknie jak nic. Dostałem stówę na kilo poledwicy wobowej. Szlak by trafił, ale nie ma rady.

— Tak, tak mój drogi, mama już na cmentarzu. Zostałaś sam, jak sobie radzisz?
— Jakoś radzę.
— Ożeniłeś się.
— Nie.
— Masz rację. Na chomąto zawsze czas.

— Ja też tak myślę, pani Żeniu — przytaknąłem. Nie chciałem się przyznać, że dawno założył bym to chomąto, tylko narzeczona mnie nie chce. Wypiliśmy po lyku koniaku.

— A panienki to pewnie ciągle lubisz? Co? No przynajmniej.
„Hm, moja mila! Poledwicy mogę przepić. Porozmawiać — owszem, ale bez żadnych aluzji!”

— Antyfeminista oczywiście nigdy nie byłem, jednak w miarę jak się człowiek starzeje, to po prostu nie ma czasu na głupstwa — powiedziałem z przekonaniem i bardzo godnie.

Parsknęła śmiechem. Znow zobaczyłem zupełnie młodzieńczą twarz i bystre oczy.

— Pij Piotrze i nie pleć dub smalonych. Jesteś lajdus. Mnie nie oszukasz.

Uderzyłem się pięścią w pierś, aż ludzie z sąsiednich stolików oberzruli się.

— Lajdus? A skąd pani Żeniu! Skinięła na kelnerkę.
— Jeszcze dwa koniaki — duble — dodała.

Zbladłem.
— Ja w tym roku poszedłem na emeryturę. Latka leca — westchnęła — ale co tam! Mam teraz dużo czasu dla siebie, chodzę do teatru, do kina. Mogę czytać ile mi się spodoba. Leczę się. Nie jest chyba źle.
Powiedziała to, trochę do mnie, trochę do siebie.

— Najważniejsze, że pani znakomicie wygląda.
— Tak uważasz?
— Oczywiście.

— Płeciesz synku. Jeszcze kilka lat wstecz wyglądałaś dobrze. Kiedy mama twoja żyła. Był człowiek pełen werwy.

Wypiliśmy znow po lyku. A ja zobaczyłem matkę i siebie z tezką w garści, na progu domu, który już diabli wzięli. Rzycałem: „Mama jeść?” Tezka z hukiem ładowała na etażerze w przedpokoju. „Umyj łapy i siadaj. Potem się przebierziesz. Przyjdź dziś znajomi z pracy. Masz być grzeczny. Elegancki. Powściągliwy w pysku i w czynach. Zrozumiałeś?” „Tak jest pani matko! A kto będzie?” „Zobaczysz”. „A pani Żenia będzie?” „Będzie. O jedenaście podziękujesz i pójdziesz spać. Żebym nie musiała dać ci w pysk”. „Po co mama robi ze mnie szczeniaka? Nie wie mama, że dzieci bić nie wolno? Tym bardziej przy gościach. Dziecko może wpaść w kompleksy. Niech mama przeczyta „Poemat Pedagogiczny”. Właśnie go przerabiamy. Można się nauczyć jak należy chować dziecko według radzieckiej metody pana Makarenki!”. „Wole już według starej metody polskiej. Mojej matki!”

Zaczeliśmy się śmiać.
Wteżorem zjawili się goście. Ja patrzyłem tylko na koleżankę mamę — panią Żenię.

Przy stole siedziałem obok niej. Miała sukienkę z głębokim dekoltem, z którego wychylały się do połowy duże piersi.

Gadali wszyscy razem dość nudno i chyba poszedłbym do kina ale nie mogłem oderwać oczu od tych dwóch śladych zwierzączek pani Żeni, które już od kilku miesięcy nie dawały mi spokoju. A myśl o tym jak by to

było gdyby można wziąć je w dłoń za każdym razem oblewała gorącą falą od brzucha do kolan i od kolan do brzucha.

Odwracałem oczy od tych kuszących cholerstw. Zdawało mi się, że mama tak jakoś popatrywała na mnie kpiąco, jakby czytała we mnie, ale też i oczy same odkrywały się jak na półośkach tylko w jedną stronę. A pani Żenia bawiła się znakomicie nie zapominając o mnie: „No, jedź Piotrusiu. Coś dziś taki milczący? Buzia rozpalona. Czerwony jesteś jak pomidor!”. Nachyliła się tak, że raptem mój nos zetknął się z jej cyczuskiem. Omal nie upadłem razem z krzesłem. „O jak zbladłeś”. Powiedziała zaniepokojona, bo przecież widziałam wyraźnie, że bawił się moim koszem. „Pewnie brzuch cię rozboleł. Prześtań jeść tę salatkę”. Rozkazała mama. „Nic mnie nie boli. Idę spać. Dobranoc państwu”. „Dobranoc”. A pani Żenia dodała: „Cześć. Spełnionych snów!”

Wyciągnąłem się w chłodnej pościeli, jednak nie mogłem zasnąć. Kopalem koldre, gryzłem poduszka. A ręce same lały w niedozwolone miejsca. Z całej siły zaciskałem powieki, spod których w czerń pokoju wylatywały łęczowe koła i zamieniały się w śniadą kulę z brązowymi sutkami. Nie wiem jak długo się męczyłem. Z półsnu wyrwał mnie głos mamy i pani Żeni. „Nie ma sensu, żebyś teraz wracała. Został położyć się z mną, a ty koło Piotra. Te dwie godziny jakoś się przedrzemiesz”. „Masz rację”. Mama wyszła. Usłyszałem w ciemności szelest zdejmowanej sukni. Dostałem nerwowego swędzenia całego ciała. Gumka w slipkach nie była już w stanie stawić oporu. Leżałem cicho jak trusia, tylko myśli biegały jak oszalałe konie. Przejść! Przejść! Nareszcie! Ostrożnie położyła się obok mnie. Wstrzymałem oddech. Wolniutko, (przygotowany na wszelkie konsekwencje) niby w głębokim śnie odwróciłem się i cały przylgnąłem jak lepek do pany do ciepłych, gładkich i pachnących piersi. W napięciu czekałem na reakcję. Nic. Ręka niby zlodziej wolno pelzła po nagim ramieniu w kierunku piersi. Pierwszy raz w życiu trzymałem prawdziwą kobietę za prawdziwą pierś. Było to coś wspaniałego. Zacząłem delikatnie jej głaskać jak miękkiego kociaka. Serce miałem w gardle. Oddech jak po spurcie na dwieście metrów. Pani Żenia odwróciła się naznak Zamarłem. Zamknąłem oczy oczekując na oczywiście i zastużone „dostanie po pysku”. Jednak ręka przesuwała się po moim polczku i zaczęła głaskać po włosach. Skóra zjeżyła mi się nicyzm na psie, choć

było najpiękniej i najdziwniej jak jeszcze nigdy w życiu. Czulem jej oddech na twarzy, pocałunek i tysiąc obcych rąk na całym ciele. Miałem ochotę krzyczeć. Na chustawce wylatywałem do nieba i kto wie czy wrócił bym na ten ziemski padół, gdyby nie dotarł do mnie szept pełen uznania: „Ty smyku!”

Obudziłem się rano wściekły. Jak wstać? Jak spojrzeć tej cholerniej kobiecie w oczy? Co za baran ze mnie! Czulem lepką wstręt do siebie. Nienawidziłem jej. Ludziłem się, że może umarła. Ale skąd. Żyła.

„Żenia, wpió do ósmej. Piotr wstawaj. Czas do szkoły. Jak ci się spało? Piotr nie chrapał, nie wierzgał?” pytała mama. „Był bardzo grzeczny!” Uśmiechnęła się i pogłaskała mnie po twarzy. Bezezelna — pomyślałem z nienawiścią w sercu. „Wstawaj drabie, już czas”. Ołbrzymim wysiłkiem woli powstrzymałem się, żeby jej nie ugryźć.

— Co się tak zamysłiłeś, Piotrze? Kawa stygnie.
W tej chwili ogarnęła mnie nieprzeparta chęć wtulenia głowy w wydatne miękkoci.

— Pani Żeniu, zdrowie pani. Podnieśliśmy kieszki w górę.
— Za spełnienie snów.

Wypiła. Popatrzyła na mnie.
— Mnie smyku wszystkie sny się już dawno spełniły. A tobie na nieszczęście twoje i każdego młodego człowieka też się spełnia.

Znow nie wiedziałem jak popatrzeć jej w oczy. Zrobiło mi się smutno i głupio. Próbowałem się pocieszyć w myśli przypomnieniem rozmowy z redaktorem. Smutek jednak nie mijał.

— No to pójdzimie Piotrze? Podeszła kelnerka. Wyciągnąłem stówę.
— Daj spokój ja zapłacę. Protestowałem.
— Miłcz i bądź miły.
Pożegnaliśmy się na ulicy. Pocałowałem ją i zapytałem:
— Czy mogę kiedyś do pani zadzwonić?
— Możeż.

Odszedłem. Za rogiem zacząłem biec. Wpadłem do kwaciarni:
— Proszę za stówę czerwonych róż!
— Przybrać?
— Nie. Proszę szybko.
Dagoniłem panią Żenię przy Zielonej. Zziąłany stanąłem przed nią.
— Proszę.

Bez słowa, uśmiechnęła przyjęła kwiaty. A ja odwróciłem się i szybkim krokiem szedłem Piotrkowską mruczając pod nosem:
„Wspaniała kobieta. Mam talent!”



PRZEKŁADANIE RZEKI

W numerze 33 „Odgłosów” z dnia 14 sierpnia 1975 BOGDA MADEJ tak zakończyła swój reportaż o przygotowaniach nowego koryta dla Widawki: „31 sierpnia 1975 roku nie jest dla nich żadną szczególną datą. Ot, po prostu jeden z terminów ukończenia pracy. Takich terminów będzie jeszcze kilka. Dla laika zawsze to coś szczególnego. Tego dnia rzeka, która przez setki lat żłobiła sobie koryto, płynąc meandrami pośród pól i lasów, nagłe zmuszona ręką człowieka, poplynie betonowym korytem, aby człowiek mógł spokojnie wydobyć z ziemi węgiel i aby mógł spalać go w Rogowcu, otrzymując dzięki temu elektryczność”.

I oto tę datę mamy już za sobą, 29 sierpnia o godz. 13 wody Widawki wpłynęły w nowe koryto. Zakończył się w ten sposób jeden z najważniejszych etapów prac przy budowie kopalni węgla brunatnego w Belchatowie. Dodajmy, że było to najpoważniejsze i chyba najtrudniejsze zadanie realizatorów tej gigantycznej inwestycji w roku 1975. Dziś rzeka płynie już poza terenem budowy przyszłej kopalni. Nasz fotoreporter WŁODZIMIERZ PARYS utrwalił ten moment — tak istotny i kluczowy dla całej budowy. Z ogromnego serwisu zdjęć wybraliśmy zestaw, który pokaże jak odbył się ten niecodzienny happening inwestycyjny. Celowo używamy słowa happening, bowiem było w tym coś z atmosfery twórczego pokazu. Z tą wszakże różnicą, że happeningi artystów służą nieraz pustej, improwizowanej demonstracji, happening na Widawce natomiast był przygotowany i obliczony w najdrobniejszych szczegółach; na ów moment wpłynięcia rzeki do nowego koryta złożyła się praca tysięcy ludzi — i ta praca

służyć będzie z kolei milionom. Jest to zasługa załogi belchatowskiej grupy robót „HYDROBUDOWY 1”, pracującej pod kierownictwem inż. HENRYKA BURACZEWSKIEGO. Załoga swoje zadanie wykonała w terminie o 3 miesiące skracając cały cykl o jedną trzecią.

Na naszych zdjęciach widzimy szefa tego zespołu wraz ze swoimi najbliższymi współpracownikami: inż. RAFAL PIOTROWSKI, STEFAN GARSKA (trzydzięci lat pracy w „Hydrobudowie”), JANUSZ NOWAK, BOLESŁAW LEONARCZYK i LEONARD SZYMANSKI.

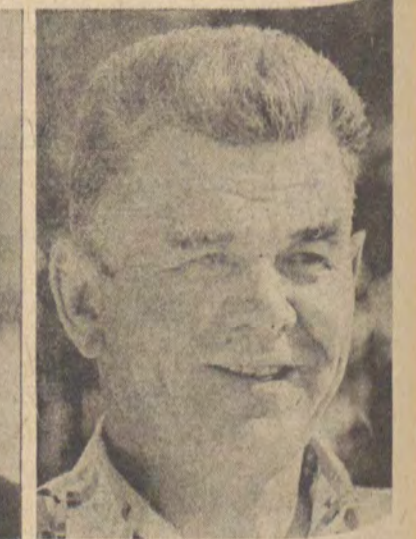
Oczywiście przekładanie rzeki” było przedsięwzięciem trudnym i — jednocześnie — bardzo „widowiskowym”. Ale załogę czekają jeszcze lata pracy na tej budowie. Plany mówią o regulacji Widawki na długości prawie 35 kilometrów. Zbuduje się tu 11 mostów i szereg przepustów. Za parę miesięcy rozpocznie się wbijanie tysiąca pali pod główny budynek elektrowni w Rogowcu. Dalej będą budowane gigantyczne zbiorniki wodne.

Na razie załoga inż. Buraczeńskiego ma za sobą ten trudny etap. Niby nic, tylko 3 kilometry nowego koryta, ale było to przedsięwzięcie unikalne. Unikalne było też tempo — 6 miesięcy.

Od tamtego momentu, gdy wody Widawki wpłynęły w nowe koryto minęło dziś prawie dwa tygodnie. Publikujemy te zdjęcia, które dziś już są historią — dla historii właśnie. Uważamy, że ów moment wart jest zanotowania właśnie w ten sposób — obrazem, bardziej wymownym niż słowo.

J. WIL.

FOTOREPORTAŻ WŁODZIMIERZA PARYSA



U PRZYJACIÓŁ

Moskiewie odbywa się Międzynarodowa Wystawa „Książka w służbie pokoju i postępu”, ciesząca się ogromnym zainteresowaniem publiczności. Codziennie przez tereny wystawy przewija się blisko 40 tys. osób. Stoisko polskie, prezentujące prawie 150 książek, należało do najliczniej odwiedzanych. Polscy wydawcy odnieśli też niemały sukces zdobywając dwa złote medale, jeden srebrny i pięć brązowych. Tym bardziej że konkurencja była liczna: ponad 500 firm wydawniczych z 44 krajów świata, prezentujących ponad 25 tys. książek w blisko 90 językach.

Państwowa Biblioteka im. Lenina w Moskwie przeprowadziła na szeroką skalę badania czytelnictwa książek przez ludzi radzieckich. Wynika z nich, że 89 proc. mieszkańców miast i 65 proc. ludności wiejskiej jest stałymi czytelnikami książek, natomiast 85 proc. rodzin miejskich posiada własne biblioteczki domowe. Wyniki te są szczególnie imponujące jeśli zważy się, że w ogóle w świecie odczuwa się spadek zainteresowania książką. Np. badania socjologów w Austrii wykazały, że systematycznie czyta książki zaledwie 5 proc., a w USA analogicznie ok. 10 proc. obywateli. Spadek zainteresowania książką na świecie tłumaczy się wpływem telewizji, ale w świetle radzieckich badań czasu wolnego i to twierdzenie staje się wątpliwe. W ostatnich bowiem latach ZSRR stał się drugim po USA krajem pod względem upowszechnienia telewizji. I nie zmniejszyło to czytelnictwa książek ani wysokiej frekwencji w teatrach, kinach, salach koncertowych i muzeach.

Nasuwa się wniosek inny: ogólny wzrost poziomu kultury społeczeństwa nie odbywa się „kosztem” czy „zamiast” książki, lecz poprzez rozzerzenie skali zainteresowań i korzystanie z najrozmaitszych i uzupełniających się form upowszechnienia kultury.

Radziecki świat literacki obchodzi 80 rocznicę urodzin zmarłego w 1958 r. Michała Zoszczenki, wybitnego satyryka, którego opowiadania od lat cieszą się ogromną popularnością w ZSRR i na całym świecie. M. Zoszczenko zdobył sobie niezwykłą popularność dzięki prostocie stylu. Miał ponadto rzadką umiejętność podpatrywania ludzkich słabostek oraz ogólnych bolączek jak biurokracja, pijaństwo czy łapownictwo. Dużym powodzeniem zawsze cieszyły się jego wieczory autorskie.

Z okazji rocznicy prasa literacka przypomina sylwetkę twórczą Zoszczenki oraz pozytywne opinie na temat jego twórczości wygłaszane m. in. przez Majakowskiego i Gorkiego.

W Centralnym Salonie Wystawowym Moskwy od czerwca czynna jest wystawa prac plastyków krajów socjalistycznych, poświęcona 30-leciu zwycięstwa nad faszyzmem. Biorą w niej udział artyści-plastycy z Bułgarii, Czechosłowacji, DRW, Kuby, Mongolii, NRD, Polski, Rumunii, Węgier i Związku Radzieckiego. Na wystawie zgromadzone ok. 1800 prac reprezentujących rozmaite style i kierunki w sztuce plastycznej.

„Artystów łączy wiele, a przede wszystkim jedno: postawy ideowo-artystycznej, chęć porozumienia się z widzem językiem sztuki dostępnym, wyrazistym i wzruszającym” — pisze o wystawie na łamach „Prawdy” E. Wostokow.

W centrum Warny rozpoczęto budowę wielkiego zespołu kin. W przyszłości odbywać się tu będą krajowe i międzynarodowe festiwale. Główną salą liczącą tysiąc miejsc wykorzystywać się będzie również na koncerty i inne spektakle, a także kongresy i konferencje. Zainstalowana tu będzie aparatura do synchronicznego tłumaczenia w pięciu językach.

W Bułgarii nie tylko inwestuje się w rozwój nowej bazy dla potrzeb kultury, lecz ta „pieczołowicie dba się o zabytki kultury przeszłości. Obiektów zarejestrowanych jako pomniki kultury jest ok. 7500, a do końca roku przewiduje się zakończenie całkowitej rejestracji zabytków.

We wrześniu br. w Pławidw od będzie się międzynarodowe sympozjum na temat ochrony architektury narodowej.

Opuszczając więzienia w Spandau, w październiku 1956 roku, b. następca Hitlera — Karl Doenitz (9-dniowy prezydent III Rzeszy po bezwarunkowej kapitulacji Niemiec), powiedział reporterom: „Moim obowiązkiem jest zachować milczenie”.

W jakimś czasie później wydał swoje pamiętniki „Dziesięć lat i 20 dni”. Wyznania Doenitza, wbrew jego intencjom, demaskują wysiłki przeróżnych historyków do umniejszenia odpowiedzialności generałów i admirałów III Rzeszy za rozpętanie II wojny światowej oraz potwierdzają fakt, iż stanowili oni nie tylko kościół hitlerowskiej maszyny, lecz byli także główną oporą nazizmu, a po wojnie przekształcili się w podstawową siłę zachodniemieckich odwetowców.

Pamiętniki Doenitza obejmują okres jego kariery wojskowej i działalność w charakterze „głowy państwa”. Doenitz z uporem odrzucał wszelkie sugestie uzupełnienia pamiętników, a w bardzo rzadkich wypadkach udzielania wywiadów dla prasy, uchylał się od wyrażania swoich poglądów politycznych i odmawiał wyjaśnienia motywów tych swoich działań, które w przeszłości wywoływały najbardziej gwałtowne potępienie. Odpowiadając na pytania, przytaczał po prostu wyjątki ze swojej książki.

Dziś, pisze komentator polityczny londyńskiego tygodnika „The Observer”, któremu Doenitz udzielił niedawno wywiadu, w 83 roku swego życia były hitlerowski admirał jest maleńkim człowieczkiem, chudym jak szkielet, podobnym do ptaka, niemniej zupełnie jeszcze krzepkim, choć niemal całkowicie głuchym. W 1950 roku pewien brytyjski dziennikarz nazwał go „najbardziej niebezpiecznym ludywiduum w Spandau”, ale patrząc na niego teraz trudno by powiedzieć, iż niegdyś nazwano go człowiekiem, który „promieniował nienawiścią na Procesie Norymberskim”.

Doenitz piął się po szczeblach kariery służbowej równoległe ze wzrostem wpływów partii nazistowskiej. W początkach II wojny światowej został głównodowodzącym floty podwodnej, która przez długi czas zadawała koalicji antyhitlerowskiej bolesne ciosy. Z ogólnej liczby zatopionych 5.150 sojuszniczych jednostek pływających o ogólnej wyporności 21.570.720 ton, flota podwodna Doenitza zatopiała 2.828 statków i okrętów o ogólnej wyporności 14.687.321 ton.

Wywiad z brytyjskim dziennikarzem rozpoczął Doenitz od momentu klęski wojsk hitlerowskich pod Stalingradem. W tym monologu raczej niż wywiadzie, wygłaszanym z tru-

dem i przerywanym często długim milczeniem, Doenitz nie powiedział nic nowego. Można by to nazwać oświadczeniem dla prasy, opartym na materiałach w większości już opublikowanych. Niemniej, ze względu na formę, warto mu poświęcić nieco miejsca.

„Przed wszystkim — zaczął Doenitz — chciałbym powiedzieć, jak doszedłem do przekonania, że przegraliśmy wojnę. Katastrofalna klęska pod Stalingradem bardzo pogorszyła naszą sytuację. O podboju Rosji nie mogło już być mowy, odwrót na froncie wschodnim był nieunikniony. Runęły kalkulacje Hitlera na zawarcie pokoju z Anglią w oparciu o niemieckie sukcesy w Rosji.

Należy w tym miejscu podkreślić, iż pragnąc usprawiedliwić przedłużenie bezmyślnego przelewu krwi, próbuje Doenitz przypisać całej antyhitlerowskiej koalicji powojenne plany wobec Niemiec, które lansowali poszczególni jej uczestnicy, a nawet poszczególni działacze. Wiadomo, że dzięki wysiłkom Związku Radzieckiego na konferencjach w Jaltie i w Poczdamie odrzucono liczne warianty federacji, a nawet rozdrobienia Niemiec, jak również plany odzyskania Ruhry, Saary i okręgu Renu.

O biologicznym wyniszczeniu i grabieniu innych narodów przez państwo hitlerowskie Doenitz — jak twierdzi — „nic w tym czasie nie

osłabił. Porównywał go z Napoleonem, którego w dniu śmierci także piętnowano jako przestępcę, a przeszedł do historii jako wybitny dowódca. Dopiero później wyraził Doenitz krytyczną uwagę, jedyną zresztą, pod adresem Hitlera, pisząc w swych pamiętnikach: „Zbyt późno poznałem okrutną stronę jego charakteru”.

W dalszym ciągu wywiadu Doenitz snuje opowieść o swoich usiłowaniach zawarcia separatystycznego pokoju z mocarstwami zachodnimi, próbie podważenia antyhitlerowskiej koalicji i, jeśli by to okazało się możliwe, wciągnięcia mocarstw zachodnich do wojny przeciwko Związkowi Radzieckiemu. Próby te speliły na niczym.

O dniach agonii III Rzeszy Doenitz mówi tak: „Nocą telegrafowałem do Jodla, że został upoważniony do podpisania w moim imieniu dokumentu o kapitulacji zgodnie z warunkami Eisenhowera. Jodl podpisał dokument o godzinie 2.41 dnia 7 maja w Reims”. Jest to niezgodne z prawdą, bowiem kapitulacja w Reims nie była kapitulacją wobec wszystkich sojuszników i nie oznaczała zakończenia wojny. Akt o bezwarunkowej kapitulacji został podpisany 8 maja (według czasu moskiewskiego o godz. 0.43, dnia 9 maja 1945 roku), w sztabie przedstawiciela Naczelnego Dowództwa Radzieckiego, marszałka G. Żukowa, w Karlhorst.

O północy 8 maja dowództwo niemieckie ogłosiło ostatni komunikat: „Poczynając od północy na wszystkich frontach nastąpiło przerwanie ognia. Z rozkazu admirała Doenitza siły zbrojne zaprzestały bezładnej walki”. Ale minie jeszcze tydzień, nim Doenitz wyda polecenie zdjęcia portretów Hitlera tam, gdzie mogły one zwrócić uwagę.

Doenitz został aresztowany 23 maja 1945 roku na pokładzie niemieckiego parowca „Partia”. Na procesie norymberskim oskarżono go o udział w przygotowywaniu agresji, o prowadzenie agresywnej wojny i dokonanie przestępstw wojennych. Oskarżano go przede wszystkim o niepodjęcie akcji w ratowaniu załóg torpedowanych statków i okrętów, co więcej — o wydanie rozkazu strzelania do ludzi szukających ratunku oraz o odpowiedzialność za śmierć setek pasażerów statków handlowych. Doenitz zasłaniał się rozkazem, w którym powiedział, że „ratowanie przeloty najbardziej elementarnym celem wojny — niszczeniu wrogich statków i ich załóg”.

Doenitz odnosił się do procesu sądowego w Norymberdze z nie ukrywaniem lekceważeniem. Błł przekonany, że ani jedno z zarzucanych mu przestępstw nie ma z nim nic wspólnego, że wszystko to jest tylko „amerykańskim kawałem”. Na procesie norymberskim nie zapomniano jednak, że Hitler wyznaczył Doenitza na swego następcę, jak również i o tym, że kontynuował on wojnę. Nawet to wystarczyło do wydania wyroku. Trybunał uznał go winnym zarzucanych mu przestępstw wojennych. Skazano go na dziesięć lat więzienia.

JERZY CZECH

„NIC NIE WIDZIAŁ
NIC NIE SŁYSZAŁ...”

Później, w maju 1943 roku, nastąpił przełom w wojnie podwodnej. Środkii obrony sojuszników zmniejszyły efektywność działania naszych łodzi podwodnych, które dotąd wykonywały swoje zadania bojowe z wyjątkowym powodzeniem. Wreszcie kiedyś latem 1944 roku wojska sojusznicze wylądowały w Normandii i udało się im utworzyć przeciwko nam drugi front w zachodniej Europie. Stało się jasne, że wojnę przegraliśmy.

„Ale co mieliśmy zrobić? Wiedzieliśmy, że na konferencji w Casablance, w styczniu 1943 roku, sojusznicy podjęli decyzję wyrażenia zgody wyłącznie na bezwarunkową kapitulację Niemiec. Ale dla nas oznaczało to oddanie Stalingradu trzech i pół miliona żołnierzy, którzy w tym czasie walczyli w Rosji. Jeśli chodzi o wojsko, bezwarunkowa kapitulacja oznacza, iż powinno ono pozostać na swoich pozycjach, złożyć broń i oddać się do niewoli. Podobna sytuacja byłaby dla nas nie do zniesienia.

Wiedzieliśmy także, że nasi zjednoczeni przeciwnicy zamierzają rozczłonkować naród niemiecki i całkowicie zniszczyć przemysłowe i handlowe życie kraju. Tak więc nie było w tym czasie innego wyjścia, jak kontynuować wojnę...”

wiedział”. Oczywiście wiedział o istnieniu obozów koncentracyjnych, bowiem więźniowie, jako siła robocza, pracowali w wojskowych dokach, ale o dokonywanych przestępstwach „dowiedział się dopiero po zakończeniu wojny”. Nic to nowego, jako że niemal wszyscy nazistowskie przestępcy wojenni, włącznie z Goeringiem, posługiwali się takim właśnie argumentem obrony.

„To, czego dowiedziałem się w 1945 roku, po kapitulacji, i w 1946 roku o nieludzkiej stronie narodowosocjalistycznego systemu, wywarło na mnie głębokie wrażenie. Z całą wyrazistością ujrzałem złowieszczą stronę tego systemu, a mój stosunek do państwa, które stworzyło taki system uległ zmianie” — pisze Doenitz w swoich pamiętnikach.

Trudno w to uwierzyć. Doenitz był zawsze człowiekiem zaprzędanym Hitlerowi; było to szczególnie widoczne w ostatnich 18 miesiącach wojny. W swoim noworocznym orędziu do floty wojennej, w przeddzień 1944 roku, Doenitz powiedział między innymi: „Führer wskazuje nam drogę i cel. Oddani mu całkowicie podążamy za nim ku wielkiej przyszłości Niemiec”. Nawet po wojnie, nawet po procesie norymberskim jego podziw dla Hitlera nie

UDZIAŁ POLSKI W WALCE O POKÓJ i umocnienie pozycji socjalizmu

Uchwała XVIII Plenum KC PZPR o zwołaniu w dniu 8 grudnia 1975 roku VII Zjazdu PZPR oraz o przyjęciu wytycznych KC rozpoczyna okres bezpośrednich przygotowań do Zjazdu. Wypełniony on będzie ogólnonarodową dyskusją — o dorobku i dalszych zamierzeniach rozwoju kraju do 1980 roku.

W ocenach znajdzie swoje miejsce również aktualna sytuacja międzynarodowa i polska polityka zagraniczna, udział naszego kraju w wypracowywaniu światowego odprężenia.

To, że w różnych językach słowo: Polska — łączy się z aktywnymi zabiegami o utrwalenie pokoju, jest tylko jednym z mierników międzynarodowej pozycji naszego kraju. Przyczyniło się do niej liczne polskie inicjatywy, wspieranie wszystkich pokojowych przedsięwzięć, udział w międzynarodowych akcjach, mających na celu zapobieżenie konfliktom, nie dające się zliczyć spotkania polityczne, zainicjowane przez nas wioleletnie umowy i porozumienia dwustronne. Przed wszystkim jednak nasz

autorytet łączy się z naszym miejscem we wspólnocie krajów socjalistycznych.

W okresie od VI Zjazdu partii, a więc w ciągu czterech ostatnich lat, wszystkie kraje socjalistyczne mają na swym koncie poważne osiągnięcia. Są one następstwem rozszerzenia wielopłaszczyznowej współpracy w ramach RWPG.

Wytyczne KC na VII Zjazd podkreślają, że „pomyślnie wypełniany jest i stale wzbogacany program integracji socjalistycznej”, rozszerza się specjalizacja i koordynacja, a wzrost ekonomiczny państw socjalistycznych organicznie został powiązany z ich rozwojem społecznym i politycznym. Przyczyniło się to do umocnienia pozycji socjalizmu w świecie, dalszego przesunięcia w układzie sił.

W tych warunkach możliwy był zwrot w sytuacji międzynarodowej w kierunku odprężenia. Mamy jego liczne i prawie codzienne dowody. Jednym z nich był sukces Konferencji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie. Tak reprezentatywnego fo-

rum nie było w historii naszego kontynentu. Nigdy też nie dyskutowano i nie przyjęto jednogłośnie tak ważnych zasad rozwoju stosunków międzynarodowych.

„Konferencja i jej pomyślnie rezultaty — czytamy w dokumencie KC stworzyły przesłanki do uczynienia procesu odprężenia nieodwracalnym, dla pełnej realizacji zasad pokojowego współistnienia na naszym kontynencie”.

Trzeba jednak czuwać, aby postanowienia tej konferencji były w pełni wprowadzane w życie, i dążyć, aby odprężenie polityczne uzupełnione zostało militarnym. Zmierzać bowiem powinniśmy do budowy ogólnoeuropejskiego systemu bezpieczeństwa zbrojowego.

Ważnym wydarzeniem na naszym kontynencie będzie Konferencja Partii Komunistycznych i Robotniczych Europy, w której przygotowaniu aktywny udział bierze PZPR.

Oczywiście odczuwalna poprawa w stosunkach międzynarodowych nie wszystkim jest na rękę. Przeciwnicy odprężenia wolał inny bieg spraw — kontynuację wyścigu zbrojeń i wywoływanie napięć. Z ich strony nadal zagraża światu niebezpieczeństwo.

„Nie ustają próby ingerencji w sprawy wewnętrzne innych krajów... Wbrew tendencjom odprężeniowym działalność różnych ośrodków antykomunistycznych, a nawet ulega ona nasileniu”.

W jednym froncie z siłami zimnej wojny działa maolistyczne kierownictwo Chin, którego polityka na arenie międzynarodowej, dyktowana wielkomocarstwowym szowinizmem, stanowi niebezpieczną tendencję w świecie.

Cechą aktualnej sytuacji jest znaczna aktywizacja krajów rozwijających się, które walczą o nowy ład ekonomiczny — zastąpienie starych zasad z epoki kolonializmu nowymi, o prawo swobodnego dysponowania własnymi bogactwami naturalnymi, o ograniczenie dominacji monopolii. Kryzys świata kapitalistycznego powiększają trudności tych krajów, zmuszając je do szybszego działania.

Świat ma do rozwiązania wiele problemów. Są jeszcze rejonu pozabawione postępu cywilizacyjnego, więcej — są strefy głodu i nędznej egzystencji. Tym bardziej niezbędne jest zapewnienie trwałego pokoju, zahamowanie wyścigu zbrojeń i skupianie uwagi na kształtowaniu nowych stosunków międzynarodowych, z których korzyści wynosić będą wszystkie kraje. Taki konstruktywny program ma ruch komunistyczny. Szczególna zaś rola przypada socjalistycznej wspólnotie. Polska, która jest jej mocnym ogniwem, nadal będzie działać aktywnie na rzecz utrwalenia procesu odprężenia, międzynarodowego bezpieczeństwa i pokoju.

WITOLD SŁAWSKI

PLASTYKA

ANDRZEJ GRUN

MALARSTWO ANDRZEJA KONWERSKIEGO



Lodzi przybyło nowych sal wystawowych. Biuro Wystaw Artystycznych a pośrednio i Związek Polskich Artystów Plastyków objęły w użytkowanie zabytkową willę przy ul. Wólcząńskiej 31 Parter, piętro, ewentualnie zaadaptowane przyzwolone do celów wystawienniczych. Ponadto pomieszczenia klubowe i biura BWA. Nowe salony zainaugurowały swoją działalność podczas tegorocznej Wiosny Artystycznej. W związku z tym przeprowadziłem szybką prywatną sondę: czy otwarto w Łodzi jakiś nowy salon wystawowy i jeśli tak, to gdzie on jest (nie możesz podać adresu, to naruszy jak dojdę)? Na około 50 przepytanych przeze mnie osób, 10 było zorientowanych co i gdzie; 4 wiedziały, że gdzieś dzwonią, ale nie mogły podać adresu kościoła Pytani byli: członkowie ZPAP, dziennikarze, literaci, aktorzy, muzycy, działacze pionu kulturalnego oraz inni. Nie mam zamiaru pomstować tu, że nikt się sztuka w Łodzi nie interesuje, jeno zwracam uwagę, że naród jest niedoinformowany. Salony wystawowe przy WÓLCZAŃSKIEJ 31 wymagają rozreklamowania. Lo-

dzianie o nich nie wiedzą, a zatem jak mogą je odwiedzać? Znane są obyczaje łodzian — ciągle jeszcze dla nich to, co jest na lewo i na prawo od Piotrkowskiej — jest na drugiej półkuli. Aktualnie w salonach wystawowych BWA przy ul. Wólcząńskiej 31 otwarta jest ekspozycja malarstwa i rysunku Andrzeja Konwerskiego z Warszawy. Przed 10 laty ukończył on warszawską Akademię Sztuk Pięknych i ma już na swoim koncie kilka wystaw indywidualnych i wielokrotny udział w wystawach zbiorowych w kraju i za granicą. Malarstwo Konwerskiego jest ciężkie. Ponure, toporne i ciężkie. Nieeleganckie. Pozbawione wszelkich ozdóbek, upiększeń, galanteryjnych smaczków. Jest nieefektywne. Smutne i dramatyczne. Technika, jaką posługuje się Konwerski nie ukrywa niczego; przeciwnie — stara się wszystko wydobyć na zewnątrz, wszystko pokazać, uwewnętrznić i utrwalić najdrobniejszy ruch narzędzia, odsłonić konstrukcję. Surowa materia malarska obrazów Konwerskiego jawnie manifestująca, że zbu-

dowane są li tylko z farby i koloru sprawia, że przyglądamy się im z uwagą i powagą. Uwaga nasza jest tym większa, że tematem obrazów Konwerskiego jest człowiek.

Tak jak swobodna, niejako spontaniczna jest materia malarska płócien Konwerskiego, tak też i forma malowanych przez niego postaci daleka jest od dosłowności i jednoznaczności, chociaż nader czytelna, oczywista w swojej wymowie plastycznej i dramatycznej.

Dramaturgia w obrazach Konwerskiego budowana jest nie fabułą, akcją, anegdotą, literacką narracją. Artysta tworzy ją środkami malarskimi. Kompozycją, ahoryzontalnym układem linii i płaszczyzn, kolorem, ciężarem samej materii, fakturą wyraźną i brutalną. Konwerski długo posługiwał się bardzo ograniczoną paletą. Pracował kilka lat w czerni i bieli, starając się wydobyć z tej zawężonej gamy całe bogactwo, jakie ona w sobie kryje. Kolor Konwerski do obrazów wprowadził niedawno i używa go w sposób ograniczony, ascetyczny, a może ostrożny. Podbija nim dramatyczną kulminację. Puentuje. Powoli poszerza się paleta Konwerskiego, wzbogacając jego płótna o nowe wartości. Wraz z pojawieniem się koloru zmienił się sposób rozświetlania obrazu. Już nie biała plama, ale barwna płaszczyzna stanowi często centrum kompozycji. To kolor teraz staje się światłem i wielokrotnia napięcia dramatyczne. Wygląda to tak, jakby skorupa czarno-białej faktury rozstępowała się pod naporem odśrodkowego ciśnienia, ukazując fragmenty innego świata, bardziej kolorowego, ale nie mniej smutnego i surowego.

U Konwerskiego na obrazie jest niemal zawsze człowiek. Albo człowiek i tłum. W każdym wariancie człowiek jest samotny, albo sam przeciw tłumowi, sam obok tłum, sam poza tłumem. Dramat, tragedia jednostki osamotnionej nie opowiedziane wprost, lecz zapisane w malarskim tworzywie oddziałują w sferze plastycznej i emocjonalnej zdecydowanie i mocno. Konwerski buduje powoli swój świat. Odkrywa go mozolnie sobie i nam przy okazji. Określa go i nazywa w zmiudnym trudzie. Ważne jest, że przede wszystkim odkrywa go dla siebie. Nie należy on do malarzy, którzy wiedzą jak będzie wyglądał obraz, gdy zdejma go ostatecznie ze sztalugi. Dla Konwerskiego malowanie jest przebijaniem się poprzez ciemność, jest zrywaniem zasłon, zdejmowaniem masek, uchylaniem okna, zaglądaniem do ciemnego pokoju. Stąd zapewne nie ma w tym malarstwie rutyny i dlatego każdy obraz następnym wnosí coś nowego, jest bogatszy o nowy element, nowy warian, nowe odkrycie. Dla tych powodów właśnie malarstwo Konwerskiego wydaje mi się ciekawe, choć nie nowatorskie to jednak odkrywcze w granicach jego własnego podwórka. A o to chyba chodzi w sztuce. Najpierw trzeba odkryć i poznać własny świat, a poprzez niego samego siebie. Dopiero uświadomienie sobie własnego statusu pozwala zająć twórcze stanowisko wobec innych spław, bardziej uniwersalnych.

I MIEDZYNARODOWE TRIENNALE TKANINY ŁÓDŹ — 75



Keiko Fujioka (JAPONIA) — „KOMPOZYCJA PRZESTRZENNA” — techniką własną

Foto: W. Maciejewski

Organizatorami I Międzynarodowego Triennale Tkaniny w Łodzi są: Związek Polskich Artystów Plastyków, Muzeum Historii Włókiennictwa, Biuro Wystaw Artystycznych w Łodzi i Zakłady Artystyczne „ART” w Łodzi. 22 października br. w salach Muzeum Historii Włókiennictwa otwarta zostanie uroczyste Międzynarodowa Wystawa Tkaniny Unikatowej i Ogólnopolska Wystawa Tkaniny Przemysłowej. Ekspozycja zajmie pomieszczenia na III piętrze Muzeum o łącznej powierzchni 2.000 metrów kwadratowych. Projektantem ekspozycji jest znany łódzki architekt wnętrz, artysta plastyk Jerzy Frątczak, który pełni również funkcję komisarza Triennale.

W skład Komitetu Honorowego I Międzynarodowego Triennale Tkaniny wchodzi: Józef Teichma — wicepremier, minister kultury i sztuki, Wincenty Kraśko — sekretarz KC PZPR, Tadeusz Kunicki — minister przemysłu lekkiego, Bolesław Koperski — I sekretarz KŁ PZPR, Jerzy Lorens — prezydent miasta Łodzi, Barbara Natarska — przewodnicząca ZG ZZ Prac. Przem. Włók. Odsz. Odzieżowego i Skórzanego, Janusz Kaczmarek — prezes ZG ZPAP.

W związku z wystawą wydrukowany zostanie obszerny, wyczerpujący katalog oraz plakaty i zaproszenia w czterech wersjach językowych. Przewidywany jest uroczysty wernisaż.

W salach Muzeum trwają obecnie prace remontowe, które, jak informuje komisarz Triennale, J. Frątczak, ostatnio, po licznych interwencjach przybrały na intensywności. Miejmy nadzieję wykonawcy nie zawiodą.

OPOWIADANIE

MAREK ADAM JAWORSKI

CZTERDZIEŚTY PIĄTY

Na imię miała Zygryda. — Dlaczego tak brzydko cię nazwano? — pytałem kilkakrotnie. Uśmiechała się tajemniczo. Ten uśmiech weale nie pasował do jej imienia. Zawsze, nie wiem dlaczego, przypominał mi pszeniczne kłosa. Dziwne skojarzenie. Ale wtedy właśnie — w scenierii dojrzywał z złością, pod niebem koloru bławatków, w dniu nabrzmiałym zmęczeniem uśmiechnęła się tak pierwszy raz.

Spotykaliśmy się zwykle po lekcjach. Niosła w rękę wypchaną teczkę i nigdy nie chciała, abym jej pomagał. Chwilami zaczynałem już podejrzewać, że w tej teceze nosi materiały dywersyjne. Ale wieczorem, gdy widziałem ją znowu, gdy siadaliśmy na miechy — leżyła się tylko ona.

Później były wakacje. Pierwsze po wojnie. Rok czterdziesty piąty. Skapitulowała Japonia. Gazety i radio przynosiły wiadomości o tajemniczej bombie. Oslepiające błyski nad Hiroszimą i Nagasaki. Spopielone miasta, spopieleni ludzie.

Japonia kojarzyła mi się dotychczas ze sprzedawcą-domokrąca o skośnych oczach, który namówił kiedyś ojca na kupno krawatu z wymalowaną pagodą. Krawat moczył oczy jaskrawością i odcieci tylko raz jeden przyzobolil nim koszulę. Wodziłem palcem po atlasie, odmierzając odległość do Kraju Kwitnącej Wiśni. Jeśli pociąg jedzie z prędkością 70 kilometrów na godzinę, dojrza do Władystoku...

Nie, dziś już nie pamiętam wyników tych obliczeń. zresztą i szybkość stała się rzeczczą względną. Znamyśmy o ówczesnym świecie tylko tyle, że w sierpniu czterdziestego piątego dopiero odkrywałem nie znane lądy. Chwilami, ciągle jeszcze machinalnie, chciałem przed zapaleniem światła spuścić na okno czarną rolę. Zamiast roleży szyby zastąpiła tylko śnieżnobiała firanka.

Mogłem już czytać dowolnie. Matka nie mówiła, jak przed dwoma miesiącami: Znowu późno wracasz do domu. Kiedy odrobisz lekcje? — A w głosie jej było więcej niepokoju niż irytacji. — Mam, dopiero dziesiąta — odpowiadałem. — Na jutro muszę się tylko nauczyć historii, a to pójdzie szybko.

Podręcznik pochodził z czasów przedwojennych. Program szkolny nie nadążał za życiem. Młoda władza ludowa miała zbyt wiele problemów, istniała hierarchia potrzeb. Na nowe podręczniki czas przyszedł później. Na razie musiałem wkuwać daty polityczek Legionów Piłsudskiego, a w głowie powstawał swoisty zamęt. Traciłem czas i nerwy.

— Panie profesorze — spytałem kiedyś z trudno ukrywaną irytacją — a kiedy dojdziemy do drugiej wojny światowej? — Nauczyciel spojrzał na mnie jak na przybysza z obcej planety. Wykrzywił usta, przez chwilę wydawał się bezradny jak dziecko. Nie nie powiedział, tylko po lekcji wziął mnie na stronę i wyszeptał. Tak jest, wyszeptał.

— Michniak, słuchaj Michniak, przecież najpierw ja muszę się tego nauczyć. Rozumiesz — nauczyciel. Obawiam się, że będziesz zdany na własną siłę. I to chyba już po maturze, na studiach. A jaki ty masz zamiar wybrać kierunek? — Ba! Zastanawiałem się nad tym wielokrotnie. W dzieciństwie przepadałem za jazdą koleją. — Zostanę konduktorem! — mówiłem. Z czasem aspiracje urosły. — Będę ministrem komunikacji. Podczas wojny, gdy już wydłubiły się spodnie, marzyłem o tym, by zostać oficerem i bić hitlerowców. Ale hitlerowcy zostali pobici bez mego udziału. W wyobraźni jawił się świat bez wojen, bez armii. Dziś śmieję się z tej naiwności, ale w czterdziestym piątym przeżywałem euforie. Białe-czerwone flagi, transparenty, hasła: Pokój po wsze czasy.

— Nie wiem — odpowiadałem szczerze. — Wybór jest tak duży. Wszędzie potrzebni są fachowcy. — Ale coś cię przecież szczególnie interesuje? Słyszałem od polonistów, że nieźle piszesz. Może więc wybrałbyś się na dziennikarstwo? — Owszem, myślałem i o tym. Ojciec miał wiele egzemplarzy przedwojennej prasy, wszystko szczęśliwie przetrwało wojenną zawieruchę. Chętnie przeglądałem pozostałe kartki.

— Może... Nie wiem, czy byłby to mój dobry dziennikarz. To bardzo odpowiedzialna praca. — Każda praca jest odpowiedzialna. Najlepiej, gdy się ją lubi. Wtedy i efekty są większe.

Rozmowa skończyła się właściwie na niczym. Nauczyciel jak by wstydzil się później sam siebie, gdyż nigdy nie wrywał mnie do odpowiedzi. Na każdy okres stawiał czwórkę, co mnie tylko denerwowało i podrażniało ambicje. Przy końcu roku zwróciłem się więc do niego z prośbą, aby przepisał mnie indywidualnie, bo chcę poprawić ocenę. Zgodził się i któregoś dnia zaprosił do pokoju nauczycielskiego.

Byliśmy sami. Usiadłem przy długim stole konferencyjnym, lekko stromawany. Dopiero byłoby głupio, gdybym się zbliżował! — Nauczyciel spojrzał gdzieś w przestrzeń, przez moment wydawało mi się, że on też nie czuje się najlepiej. — No to co, Michniak — powiedział wreszcie — chcesz mieć bardzo dobrą ocenę? A czy nikt ci nie mówił, że na piątkę zasługujesz tylko Pan Bóg? — Panie profesorze, mam zdawać z historii, a nie z religii — zareplikowałem i zaraz potem przestraszyłem się tych słów. Przecież to była beczelność, mógł mnie z miejsca wyrzucić za drzwi!

— Ale ty jesteś w gorączce wzdzie kapany! To wina wojny. Wy, młodzi, postarzelście się przedwcześnie. Lata wojny leżą się podwójnie... O co cię zapyta? Podręcznik chyba znasz na pamięć? — Uczylem się... — Niepotrzebnie przeczytałeś umysł datami. Daty i tak ulatują z pamięci. I historia ludzkości nie jest tylko historią wojen, choć są tacy, którzy tak sądzą.

Tu zrobił przerwę. Przyglądałem mu się z bliska, chyba pierwszy raz tak z bliska, i spostrzegłem szereg zmarszczek na twarzy. Ile on ma lat? Pięćdziesiąt? Szeszdziesiąt? — Wiesz, Michniak, zadam ci tylko jedno pytanie. Nie będzie to zapewne takie, jakiego oczekujesz. — Pedagog cedził słowa... — Poczułem lekkie odprężenie. Napięcie zastąpiła ciekawość. Nauczyciel jakby wyczuł mój nastrój i chciał ów stan przedłużyć.

— Wyobraź sobie taką sytuację: masz dzisiaj dwadzieścia lat. Nie przerywaj, wiem, że nie masz, ale wyobraź sobie. Przez osiemnaście miesięcy byłeś na robotach w Niemczech. Potem wywołili cię Amerykanie. Doszedłeś do siebie. Czy teraz wróciłbyś do Polski? — Panie profesorze... — Wróciłbyś? — Do czego on zmierzal? Już nie chodziło mi o stopień. Spostrzegłem, że mój profesor dręczył jakiś troska, że chce, abym mu w czymś pomógł. Bo ja wiem, może i pocieszył? — Panie profesorze, a dlaczego miałbym nie wracać? Przecież nawet piak wraca do gniazda... — Wyczułem, że wypadło to sztucznie, głupio. Ręce stały się mokre od potu. — Ale piak może też sobie zbudować nowe gniazdo... Widzisz, mój syn jest teraz w Anglii. Ma dwadzieścia lat. Pisał, że wróci, ale dopiero po wojnie. — Przecież wojna już się skończyła. Na Dalekim Wschodzie chyba też wkrótce będzie spokój. — Tak sądzisz? I ja bym tego pragnął. Historyk różnie jednak myśli. No, idź już... — Ukłoniłem się niezręcznie. Na korytarzu stała Zygryda. Nie przypuszczałem, że przyjdzie i jej widok zaskoczył mnie nieco. — Co? Gratulować? Minę masz niewyraźną! — Potem ci wszystko opowiem. Na razie chodź, kupmy lody.

Nie było kawiarni, gdzie można by posiedzieć. Lody w wafelowych tubkach szybko topniały na słońcu. Ująłem Zygrydę w pól i pociągnąłem na ławkę. — Słuchaj — pierwszy przerwałem milczenie. — Chciałem ci zadać jedno pytanie. Wyobraź sobie, że jesteś chłopcem. — Jak to chłopcem? — Nie przerywaj. Masz dwadzieścia lat. Piórtora roku byłas na robotach w Niemczech. Wyzwolili ci Amerykanie, trochę podkarmili i teraz mieszkasz w Anglii. W Polsce masz ojca, matkę. Wróciłabyś? — Nie. — Co nie? — Nie wróciłabym. — Zwirowałaś? Dlaczego nie? — Bo nie chcę, aby moja córka przeżywała to, co ja, co moja matka. Zrywała się w nocy kiedy na podwórzu zadudniły kroki? Zmuszano cię do oglądania publicznej egzekucji? — Mówiła w pasję. Nigdy jej jeszcze takiej nie widziałem. Teraz imię zupełnie pasowało do tej irytacji. Czy to zresztą była irytacja? — Ale przecież to przeszłość, przeszłość. Rozumiesz, Zygrydo? Słuchaj... — Cicho, popatrz... — Ulica szedł kondukt pogrzebowy. Grupa żołnierzy, kilkunastu cywilów. Na ciężarówce trumna. Jakiś oficer zbliżył się do nas. — Mogłobyście wstać, szczeniaki. Ludzie gina, ażebyście się mogli tajdać.

Podnieśliśmy się z ławek. Czułem się tak, jak by mi ktoś wymierzył siarzysty policzek. Oficer zmieszał się. — Przepraszam. Tak mi się wyrwało. Przedwzorał pojchałmy na akcję. Banda urządziła zasadzkę. I zabił takiego chłopca! Ludzie! Przeszedł do Lenino do Berlina. I dopiero tutaj, tutaj go zabili. Swol, Niby swol. Skurwy... — spojrział na Zygrydę i szybko się poprawił — skurczybyki. Zasadzałował i dołączył się do konduktu. Przez moment staliśmy niezdecydowani. Zygryda ujęła mnie za rękę. — Pójdźmy na cmentarz — powiedziała. — Kiedyś nad trumną zagrzmiął salwy i grabarz rzucił na nią pierwszy szpadel ziemi, pociągnęła mnie w głąb cmentelnej alei. Pod samym murem znajdowała się mogiła pokryta kwiatkami. — Tu leży mój ojciec. Zameczyli go hitlerowcy. Zwłoki odesłali w zapłombowanej trumnie. Za trumnę wystawił rachunek. Matka zapłaciła. Ciągle jednak nie wierzyła, że w tej trumnie są zwłoki ojca. Ojciec był bardzo wysoki, a trumna mała. — Może więc... — Później dowiedziałem się prawdziwie. Stolarz nie miał innej trumny. Hitlerowcy obcięli więc ojcu nogi. Teraz wiesz już wszystko...

Tej nocy spałem bardzo niespokojnie. Śnił mi się Londyn, ale nie taki znany z pocztówek. Wokół rozciągała się mgła. Ludzie bez nóg czolgal się po chodnikach. Ja, na wznak, w wielkich, wyglądałem wśród nich jak wielkolud. Im dalej szedłem, tej mgły było coraz więcej i więcej. W końcu już nie wiedziałem, czy to mgła czy gaz. Coś ciężkiego zwaliło mi się na piersi. Rozwarłem szeroko oczy. Na korytarzu rozłożył się kot. Głośno mruczał, dawał wyraz swemu zadowoleniu. Pogłaskałem jego puszystą sierść. — Przez okno wdzierało się do pokoju słońce.

A.G.

ZDARZENIA i ZWIERZENIA

Kalendarze - zwierciadło wieku

Wyobraźmy sobie, że przyszedłemu historykowi kultury naszego wieku pozostały do dyspozycji, na skutek jakiejś katastrofy dziejowej, takie tylko oto resztki druków z naszych czasów: trzy powieści Manna i tom wierszy Euarda oraz... „Express Wieczorny”. Nie lada byłyby kłopoty historyków, którzy mieliby odtwarzać obraz kultury na podstawie tych strzępów. Łatwo zapewne dokoniliby wstępnej klasyfikacji: zaliczyliby do jednej z kultur Manna i Euarda, do drugiej - stronicę gazet.

A przecież to wszystko nie wygląda tak prosto i do jednej kultury należą dzieła wybitnych pisarzy i notatki gazetowe.

W wieku XVIII tworzyli Wolter i Diderot - ale po mieszczańskich domach i szlacheckich zaściankach i dworach czytano kalendarze. Wybór takich właśnie kalendarzy opublikował niedawno Państwowy Instytut Wydawniczy w pięknej, bibliofilskiej niemieckiej edycji. Jest to dokument epoki - dokument mentalności, wyobrażeń, wierzeń i

poziomu umysłowego ówczesnej „średniej warstwy”. Dokument, który należy do kultury tak samo jak dzieła Woltera i Diderota, choć „oświeceni” rzucali na kalendarze gromy i anatemy.

Autorzy tej pięknej, pouczającej i wielce urokliwej antologii Bronisław Baczek i Henryk Hinz piszą, że oczywiście „oświeceni” mieli rację. W kalendarzach trwałoby prognozykóróbstwo, gdy śmiała się z tego procederu cała oświecona Polska i Europa. W kalendarzach roło się od dziwacznych bajd i kuriozów, gdy „Encyklopedia” Diderota usiłowała dokonać wielkiej syntezy nauk i kultury wieku. W kalendarzach opowiadało się bajki zamiast historii, gdy gdzie indziej powstawały już podstawy nowoczesnej historiografii.

Ale czy należałoby rzucić te kalendarze w ogień? Czy nie zubożyłyby się obraz wieku? Myślę, że „oświeceni” z braku czasowej perspektywy nieco jednak przesadzili w ocenie kalendarzy. Myślę, że szkoda tej czarownicy na stos.

Każdy, kto odzalał 150 zł i kupił urokliwy „Kalendarz półstuletni” Baczki i Hinsa, przyszedł mi rację. Od czasu słynnej edycji J. J. Lipskiego, który opracował i wydał „Nowe Ateny” księdza Chmielowskiego, nie było tak pasjonującego dokumentu mentalności średnich warstw - jak właśnie antologia starych kalendarzy.

Bo czego tu nie ma! Obserwacje astrologiczne i porady co zrobić gdy wół nie chce pracować („wół gdy się kładzie w robocie i bity robie nie chce, błąd go nie potrzeba, ale mu w ucho gruchotać, wstanie i robić będzie”). Relacja o rybach w Morzu Bałtyckim i relacja o gorzałce. O grzmotach co to jest grzmot i skąd się bierze... („Grzmot jest gruchot od ekskalacji sierzystej i salatrzyściej pochodzący...”). I tak dalej i tak dalej.

Czytamy to dziś z rozbrawieniem, ale i ze wzruszeniem. A tak w ogóle to wcale ci autorzy kalendarzy nie byli tacy głupi - „Żeby będą białe i od skorbutu wolne, sola miłką wycierać”. Albo: „Wytrzeźwi się prędko, kto oeci pije, kapu-

stę je kwaśną albo słodkie pierniki”. Pan Duńczewski, który to pisał w 1751 roku nie nie wiedział o witaminie C ani o glukozie, a jednak radził dawać dobrą.

Oczywiście i banialuk tu sporo, ale przecież i one mają swój urok i jakże są wymowne. Świat był wówczas zamknięty w granicy powiatu - wszystko co dalej stanowiło tajemnicę. „W ziemi murzyńskiej są ludzie, których zowią Azanachi, którym spodnia wargę na łokieć ku ziemi wisł. W tatarskiej ziemi tak wielkie uszy ma lud pewny, że się nim cały człek okryje”.

Takie to były powiatowe sensacje w oświeconym wieku XVIII. Gdzieś w Europie, gdzieś na górnych piętach ludzkiej umysłowości rodziła się i trwała nowa epoka - ale tam, w dworkach i mieszczańskich domach, długo jeszcze żyły ciemnota i zabobon. Ale te kalendarze, pełne prostych porad i pokrętnych banialuk też należą do kultury i dziś odkrywamy je ze wzruszeniem i uwagą. One też dają swoje świadectwo epoki.

WIDOK



„UZURPATORZY”

W serii „Nike” ukazał się tomik opowiadań Francisco Ayala pod wspólnym tytułem „Uzurpatorzy”. We wstępie czytamy: „Jej główny temat - wspólny wszystkim opowiadaniom - wyrażony jest już w tytule tomiku i można go ująć w takim oto sformułowaniu: władza, jaka człowiek sprawuje nad swoim bliźnim, zawsze jest rodzajem uszupki. Wszystkie postacie

tej książki obracają się, każda zgodnie z prawami swej orbity, wokół tego straszliwego i codziennego faktu...” Francisco Ayala, prawnik i socjolog, profesor uniwersytetu m. in. w Argentynie i w Stanach Zjednoczonych, hiszpański emigrant, zaliczany jest do czołówek współczesnych pisarzy hiszpańskich. Jest autorem kilku powieści i zbiorów opowiadań. Jedno z nich - „Opety” zostało opublikowane w Buenos Aires zanim jeszcze ukazał się ten tom. Jorge Luis Borges uznał go wówczas za „jedno z najbardziej wblajających się w pamięć opowiadań w literaturze hiszpańskiej i hiszpanoamerykańskiej”. Opowiadania umieszczone w tomie „Uzurpatorzy” osnute są na tle wydarzeń z historii Hiszpanii z czasów jej świetności i tworzą tematyczną całość.

Francisco Ayala „Uzurpatorzy”, przełożyła Z. Wasikowa, Czytelnik, Warszawa 1975, str. 242, cena zł. 22.

„SPOTKAJMY SIĘ W ZIELONEJ DOLINIE”

I znów mamy nowy przekład prozy Roberta Penna Warrena, urodzonego w 1905 roku powieściopisarską i poety amerykańskiego. Pisarz ma na swoim koncie dziewięć powieści, dziewięć zbiorów poezji, opowiadania, utwór dramatyczny, eseje, biografie i dwie rozprawy poświęcone problemom rasowym w Stanach Zjednoczonych. W Polsce Robert Penn Warren zdobył sobie popularność przede wszystkim jako autor „Gubernatora”.

Tym razem w Klubie Interesującej Książki ukazała się, wydana w 1971 roku, powieść „Spotkajmy się w zielonej dolinie”. Akcja książki rozgrywa się w zachodnim Tennessee, w latach przedziwnych. Bohaterka jest czterdziestoletnią kobietą, która przez wiele lat opiekuje się sparalizowanym mężem i niczego już nie oczekuje od życia. Pojawienie się w jej domu obcego mężczyzny zmienia radykalnie jej dotychczasowe życie. Kobieta, która od dawna nie myślała już o miłości, nagłe znajduje ją u siebie. Nie będzie zdradzać, jak dalej ułożyły się losy bohaterów, powieść Warren jest bowiem tak interesująca lektura, że szkoda byłoby zdradzać jej zakończenie. Kto ma urlop przed sobą, niech zapakuje ją do walizki.

Robert Penn Warren „Spotkajmy się w zielonej dolinie”, przełożył B. Zieliński, PIW, W-wa 1975, str. 354, cena 35 zł.

„ZIELONY DOM”

„Zielony dom” to kolejna powieść jednego z najwybitniejszych pisarzy Ameryki Łacińskiej, Peruwiańczyka Mario Vargas Llosa. Stosunkowo niedawno ukazała się w polskim przekładzie jego „Rozmowa w „Katedrze”. Wczesniej możemy sobie przypomnieć jego „Młodość i osy” oraz „Szczeciński”. „Zielony dom” to powieść, której akcja toczy się w bogatej scenarii, przede wszystkim jednak w mieście Piura na zachodnim wybrzeżu Peru oraz w lasach dżungli Amazonki. Lektura „Zielonego domu” nie należy do najłatwiejszych, choćby z tego powodu, że swoich bohaterów i ich losy przedstawia autor w różnych płaszczyznach czasu i rzeczywistości. Mamy więc do czynienia z odrębnymi tematami i wątkami, a także różną formą narracji. Całość jednak posiada znamiona utworu o nieposiednich wartościach artystycznych.

„Zielony dom” przyniósł autorowi jedno z najwyższych wyróżnień literackich Ameryki Łacińskiej - nagrodę im. Romulo Gallegosa, a także hiszpańską nagrodę „Critica”.

Mario Vargas Llosa „Zielony dom”, przełożył: Carlos Marrocan, Czytelnik, W-wa 1975, str. 628, cena zł. 38.

„OSTATNI Z WIELKICH”

Na nasze ekrany wszedł wreszcie „Wielki Gatsby”, a na polki księgarskie trafiła niedokończona powieść F. Scotta Fitzgeralda „Ostatni z wielkich”. Fitzgerald zmarł nagłe 20 grudnia 1940 roku, a w rok po jego śmierci ukazała się ta właśnie powieść. Materiały z notatek pisarza umożliwiły uzupełnienie „Ostatniego z wielkich” streszczeniem zarysu dalszej akcji.

„Ze wszystkiego, co napisałem - twierdzi Fitzgerald - najbardziej będzie to podobne do „Wielkiego Gatsby’ego”. Adriana Demkowska-Bohdziewicz, tłumaczka książki, tak napisała o jej bohaterze: „Wielki Gatsby” to powieść obohajki ponownie motywu romantycznej miłości i romantycznej chłoby, a Stahr, ten „młody mężczyzna” przynajmniej obojętnym dystansem do wywołanego, chwila mi zaskakuje swoją siłą. Ze wszystkich bohaterów Fitzgeralda Stahr jest najbardziej i najbardziej rozczarowany. Jest rzeczą zdumiewającą, że w powieści niedokończony postać ta jawi się nam z taką prawdą, z taką intensywnością. To właśnie przesadza o randze dzieła.”

Powieść „Ostatni z wielkich” ukazała się w serii „Nike”.

F. Scott Fitzgerald „Ostatni z wielkich”, przełożyła A. Dankowska-Bohdziewicz, Czytelnik, Warszawa 1975, str. 243, cena zł. 24.-

„NOC AMERYKAŃSKA”

Christopher Frank debiutuje na naszym rynku czytelnicy i od razu można wróżyć jego książce niemałe powodzenie. Urodzony w 1942 roku w Anglii, jest dziennikarzem francuskim, związanym z paryskim środowiskiem filmowo-teatralnym. Znamość tego środowiska i mechanizmów nim rządzących pozwoliły przekazać autorowi sugestywny obraz świata dziennikarskiego i artystycznego.

Tytuł książki „Noc amerykańska” - zaczerpnięty jest z terminologii filmowej. Główna jej zaleta są jednak portrety bohaterów. Ta wielowatkowa, o dynamicznej akcji powieść skonstruowana jest przy pomocy bardzo oszczędnych powieści zostawiająca za sobą jedno nakreślenie. Ch. Frank operuje przed wszystkim dialogiem, swarym, potoczystym; to zaśluga jego doświadczeń dziennikarskich. Można przyjąć to, co napisano o „Nocy amerykańskiej” na skrzydełku obwołanej, że jego technika narracyjna przypomina działanie ukrytej kamery.

„Noc amerykańska”, druga z kolei powieść Christophera Franka, narodziła została w roku 1973 przy Renaudot. Ale nie tylko z tego względu warto ją przeczytać.

Christopher Frank „Noc amerykańska”, przełożył J. Pański, Czytelnik, W-wa 1975, str. 401, cena zł. 36.-

LEWYM OKIEM

Dalej niż sto metrów

„Kultura” z dnia 24 sierpnia ogłosiła rozmowę Andrzeja Bonarskiego z nowym dyrektorem teatru we Wrocławiu, Józefem Parą. Już w tydzień później ta sama „Kultura” zamieszcza felieton Malachowskiego, kontrulicy krytycznej niektóre wypowiedzi Parę.

Jeśli mi przynosisz materiału z promienia stu metrów od gmachu redakcji - znaczy, że albo jesteś zmęczony, albo zaczęła się kanikula”. Dobra zasada? Nie wiem. Dostałem nią w głowę od Widoka, który uznał, że pisanie na lamach „Odgłosów” o „Odgłosach” świadczy o zmaltretowaniu upałem, a co najmniej o podejrzanym zmęczeniu. Malachowski jest zmęczony. Polemizuje

w „Kulturze” z „Kulturą”. Więc o czym by tu dzisiaj?

No, na przykład: „Literatura” (dalej niż sto metrów...) drukuje w odcinkach sensacyjną powieść Zbigniewa Safjana „Pole niczyje”, której akcja toczy się w międzywojennej Polsce. Przewijają się w tej powieści postaci autentyczne, wspomniany jest też „profesor Jarry”. „Profesor Jarry kończył właśnie wykład...” - podczas wykładów profesora Jarrego.

Otóż ten profesor nie nazywał się Jarry, tylko Jarra, Eugeniusz, postrach Wydziału Prawnego, specjalista od historii prawa.

Stanisław Ziemia w swoich wspomnieniach pt. „Czas przełomu” wspomina Feliksa Bur-

deckiego jako kolaboranta hitlerowskiego, który „już przed wojną związany był ze skrajnymi kołami nacjonalistycznymi”. Koźniewski, recenzując książkę Ziemię w „Polityce”, prostuje: „Niestety, nie. Nazwisko F. Burdeckiego raz po raz pojawiano się przed wojną pod różnymi protestami politycznymi organizowanymi przez lewicę, w towarzystwie pisarzy lewicowych”. Dodajmy, że pojawiło się też na okładce powieści fantastycznej „Babel”, której treścią był... brutalny najazd niemiecki na Polskę, odparty w ciągu paru dni zakończony - mimo tysięcy ofiar, bombardowań, gazów trujących - haniebną klęską najeźdźcy. Jak Burdecki przekwesołował później na pozycje kolaborancie? Czy wszystko co robił przed wojną było za-

„Przekrój” z 31 sierpnia 1975 odrzuca, po raz nie wiem który, plotkę o rzekomej polskości Juliusza Verne. Prezes Polonii w Argentynie, pan Pyzik, znalazł w tamtejszych archiwach (!) dokument, w któ-

rym cesarz Francji zezwalał niejakiemu Olsiewiczowi zmienić nazwisko na Verne. Prezes Pyzik ma na deda „Przekroju” fotokopię tego dokumentu.

Ten sam „Przekrój” z 23 kwietnia 1950 r. stwierdził piórem fachowca, prof. dra Wiktora Habna: „Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że Verne był Francuzem, synem prawnika, urodzonym w Nantes, jak to wynika z dokumentów urzędowych”.

Jedno jest pewne: la verne - to po francusku ołcha. Więc możemy się bawić dalej, bezpożecznie, bezkonfliktowo, mieć „własne zdania”, „polemizować”, czy raczej przekomarzać się i blyskać erudycją a dowcipem...

ĆWIEK

NIE TYLKO HISTORIA

O WŁODZIMIERZU SPASOWICZU

„Ten człowiek był równocześnie Polakiem i Rosjaninem a głosił miłość dla ziemi swego dzieciństwa i młodości, Rusi Czarnej i Białej, Mieszkańca zasadniczo w Petersburgu, ale jeżeli zliczyć długie tygodnie jego podróży, zawsze prawie prowadzących przez Warszawę, można by także powiedzieć, że mieszkał w Polsce, choć tu nie miał stałego adresu”. Włodzimierz Spasowicz, któremu poświęciła piękną książkę Janina Kulczycka „Saloni (Ossolineum 1975), był człowiekiem nieprzeciętnym, indywidualnością, która silnie znaczyła się w drugiej połowie ubiegłego stulecia. Był prawosławnym bojem takiej religii był jego ojciec, ale zalecał się do najgorliwszych działaczy katolickiego petersburskiego Towarzystwa Dobroczynności. Był doskonałym znawcą, miłośnikiem i badaczem literatury, ale przecież z wykształcenia i profesji był prawnikiem. Uważał, że jego powołaniem jest katedra uniwersytecka ale niedługo dane mu było ją piastować. Po zlikwidowaniu jego wykładu zajął się zrazu dziennikarstwem, a potem adwokatą i na tym polu, które było dlań odskocznią po niepowodze-

niach, nie tylko dorobił się znacznego majątku, ale zyskał sławę jednego z najznakomitszych obrońców wśród pałacy Cesarstwa. Jedni uważali go za „króla adwokatów”, drudzy nie ukrywali braku swej sympatii. Znalazł się wśród nich F. Dostojewski; właśnie Spasowicz - jak podkreśla J. Kulczycka-Saloni - był „pierwowzorem jednej z najwstrętniejszych postaci w twórczości Dostojewskiego - adwokata Fietukowicza, obrońcy Miti Karamazowa”.

W centrum uwagi J. Kulczyckiej-Saloni znalazł się jednak nie tyle W. Spasowicz prawnik czy działacz społeczny, ale wszystkim zaś znawca i badacz literatury, który przed stuleciem prowokował liczne kontrowersje i spotykał się również z szacunkiem przeciwników. „Można się z Spasowiczem nie zgadzać - ośiał H. Sienkiewicz - przekonania jego polityczne i estetyczne zważać, można zwłaszcza podać punkt wyjścia w ocenianiu postępow dawniejszych, ale przynajmniej należy, że wnoszą do krytyki jakiś świeży i oryginalny pierwiastek, że studia jego nie są akademickimi rozprawa-

mi, dopełnianymi wedle rutyny”. Był surowym krytykiem romantyzmu, oskarżał literaturę romantyczną o to, że przyczyniła się do kolejnych katastrof narodowych, jak ocaleni powstania. Jednocześnie jednak starał się jakoś pogodzić tradycję romantyczną z postulatami pracy organicznej, przewartościować ją w sposób taki, aby mogła służyć nowym pokoleniom, odzgującym się od brania sił na zamiary Tytko, że jak się miało okazać, takiego pokolenia, które by zrezygnowało z marzeń niepodległościowych u nas. Polaków po prostu zabrakło. Przekonani „organiczni”, przyjaciele Spasowicza z Warszawy, skoro tylko powstały warunki po temu, jeli okazujące, jak im pragnienia te były drogie. Podobnie jak w Galicji Józef Szulski, który w polemice z rzecznikami „liberum conspiro” odrzucał odmiawianie części bohaterom powstań, tak samo W. Spasowicz - jak podkreśla J. Kulczycka-Saloni - „wielokrotnie deklarował swój polityczny peten czeń stosunek do wysiłków narodu, który nie chciał się pogodzić z utratą bytu politycznego”. On i mu podobni przedstawiciele prawego skrzydła warszawskiego polityzmu z którymi utrzymywał bliskie związki, uważali swą własną organiczną pracę za kontynuację pracy poprzednich pokoleń tyle, że w innej drodze, skutecznie wio-

LEKTOR

MAGAZYN

ODCŁOSY

MŚCIWOJ

Urodził się w Kruszwicy w 967 r. n.e. w niezamożnej rodzinie młodociany. Mając sześć lat kapal się był w niedozwolonym miejscu, za co ojcu wylupiono oczy. Pozostawiony swemu losowi (matka wcześniej go odumarała) stał się postrachem grodu, podgródzia i okolic. Mając lat 18 założył zespół rozrywkowy pod nazwą „Palelumi”. Zawsze chętnie przebywał w towarzystwie podobnych do siebie, długowłosych młodzieńców, a od figury Światowida wolał figurę młodej Świętosławy. Mimo, że w 985 roku podbił oko Ziemiowitowi, stał się potem założycielem znacznego i do dziś poważanego rodu, wzięty w jeszcze udział w bitwie pod Cedynią.

ZBYSZKO ZE SPYTKOWA

Urodził się w Spytkowiu w 1397 roku w rodzinie inteligencji niepracującej. W bitwie pod Grunwaldem nie brał udziału z powodu zbyt młodego wieku. Mając lat 14 wybił szyby szewcowi Drotewce. Całymi dniami grał tylko na gęściach, przytupując sobie nogą do taktu. Z upodobaniem nosił długie włosy, uragał kaznodziejom i ani słysząc nie chciał o nauce. W 1430 roku założył rodzinę i w ogólnym poważaniu dożył sędziwej starości.

CHRYZOSTOM LEIWA

Urodził się w Koniecpolu w 1702 roku. Pił, jadł i popuszczał pasa od dziewiętego roku życia, a mając 12 lat przy-

WŁODZIMIERZ SCISŁOWSKI ŻYCIORYSY POLAKÓW

prawił już ojca o zgrzyotę. Grał chętnie na drumli, klawesynie i lutni, atoli nie znajdował zrozumienia. Nosił z upodobaniem zagraniczne peruki i wreszcie w 1720 roku przystąpił do zespołu „Klawicymbalów” powodując tym ostatecznie przedwczesny zgon swojej matki. Zastąpił potem jako znakomity badacz i znawca historii naturalnej, zmarł niestety bezpotomnie.

SZCZĘSNY KŁOPOCKI

Urodził się w Kłyszczanach na przełomie roku 1820 i 1821. Już od najmłodszych lat czuł nieprzyjemny pocąg do salonów. Toteż kiedy wynaleziono pociąg, przenosił się z miasta do miasta, bawiąc

damy i opowiadając im ucieśnione dykteryjki.

Wyróżniał się zawsze starannie utrzymaną, bujną fryzurą, lubił grać na fagocie i okarynie, w związku z czym założył w końcu zespół pod nazwą „Dziewiętnastowieczni”. Ojcu przysparzał zmarzeczek, matce zgrzyot, a ciotkom podsypywał do poduszki tabakę i hiszpańską muchę. Przy pomocy całej rodziny skończył jako uniwersytet w Dorpacie, po czym zapisał się złotymi zgłoskami jako wynalazca chlorobufamirołu. Zmarł na uwiad starczy.

JAN KOWALSKI

Urodził się w Pabianicach w 1916 roku. Mając 8 lat podłożył nogę dziadkowi, który od tej pory niedomagiał. Lubiał grać na puzonie i harmonijce ustnej i w 1928 roku wstąpił do chóru rewersów. Miał zawsze niezdecydowany stosunek do nauki i służby wojskowej, ale mimo tych oporów skończył podchorążówkę. Pił szczególnie chętnie alasz i likier miętowy. Chodził rzadko do fryzjera i zapuścił sobie długie włosy. Obecnie jest dyrektorem PRGTZIK w Starogardzie Gdańskim.

DARIUSZ NASTOLACKI

Urodził się w każdym razie po wojnie, w związku z czym cierpi na szereg kompleksów. Mając 13 lat poblił kota, w rok później pocałował syczorykiem kanapkę w kawiarni. Już od 15 roku życia lubił muzykę rozrywkową. Nauka szła mu tępo. Od caleb i różniczek wolał zawsze Cliffa Richarda i Czesława Niemena.

Ostatnio założył nowy zespół młodzieżowy „Cogito ergo sum” i zamierza udać się na tournée po województwie kossalińskim. Za kilka lat skończy chyba politechnikę, ale długie włosy pragnie nosić do końca życia.

DOC. DR HAB
ANATOL PLEWON

W każdym razie urodził się. Do siódmego roku życia zajmował się głównie matką, do 20 roku życia rósł i to szybko. Mając lat 17 zaledwie, poznał już wszystkie tajniki papyrusologii i tajemnej wiedzy Majów. Nie pali, nie pije, nie tańczy, nie chodzi na mecze, nie interesuje się kobietami, nie ma w domu telewizora, adapteru i radia, nie znosi muzyki pod żadną postacią. Uważa się w związku z tym za intelektualistę.

Nie wiadomo po co skończył socjologię i obecnie zajmuje się życiem naszej młodzieży. Uważa, że pozbawiona jest ona wszelkich ideałów i że tak dłużej być nie może. W związku z czym zamierza założyć rodzinę, aby dać innym przykład właściwego wychowywania dzieci. Nie pozostaje nic innego jak życzyć mu powodzenia.



Fot. Archiwum

POWIĘKSZENIA

REKLAMA

W łódzkiej prasie reklamuje się Dom Handlowy „TEOFIL”. Reklama poleca m.in. obuwie, i bardzo dobrze, tylko w DH „Teofil” stoisko z obuwem nieczynne jest od miesiąca.

Reklamowanie — jak widać — bywa też czasami sztuką abstrakcyjną.

OGŁOSZENKO

Nieco nas zastanowiło ogłoszonko w „Expresie”. Oto „panna lat 21 pozna pana do lat 36, posiadającego samochód Cel i o w a r z y s k i”.

Ciekawe, kto tu ważniejszy do towarzystwa — pan czy samochód.

TEATR FAKTU

Czasopismo „Student” opublikowało magnetofonowy (jak się zdaje) zapis z pewnego zebrania, na którym zespołowi STS „Patrak” w Łodzi władze młodzieżowe narzucają Komisarycznego kierownika.

Jeśli to dowcip — to średni. Jeśli to rzeczywistość „teatr fakt” — to rzecz zakrawa na tragifarsę. Ciekawi jesteśmy następnego aktu wydarzeń.

WASYL CONEV

TEOKLIMEN

W starożytnych Atenach odbywał się posiedzenie rady starców. Oblicza cieżogodnych zebranych promieniowały dostojnym, ale żaden z cieżogodnych patriarchów nie mógł znaleźć tematu obrad godnego, aby poświęcić mu więcej czasu.

Nagle przez środek placu przeszedł Teoklimen. Kiedy ndziej nikt nie zwróciłby na niego uwagi, ale tym razem przewodniczący który już otwierał usta, aby zamknąć sesję — tyłkę zacerpnął powietrza i z ulgą rzucił się na konkretną sprawę.

Dostojna rado, Teoklimen stał się po prostu nie do wytrzymania!

Członkowie znakomitego organu opanowali zdziwienie. — Tak — ciągnął przewodniczący — Teoklimen zagraża naszej demokracji! — a widząc ułkowane w siebie oczy zebranych, wyjaśnił: — On... eec... tego... o, bierze łapówki!

Pierwszy ze starców aż podskoczył z wrażenia, ponieważ wszyscy wiedzieli, że to właśnie on przejmując „podarki”, a nawet i pieniądze za zatwierdzenie różnych spraw. Aby zmieścić temat szybko dodał:

— I zwał się z Persami! To, że drugi z patriarchów skumał się z wrogami Aten, nie stanowiło tajemnicy. Przewoźny drugi starzec zakrzyknął z całą gotowością:

— Precz ze zdrącam! — Nie wolno również zapominać — podjął przewodniczący patrząc na trzeciego członka dostojnego kolegium — że...

— Sprzedawał ojczyźnie dziurawe okryty! — odkrzyknął trzeci starzec.

Taktyka przewodniczącego stała się zrozumiała, toteż głos zabrali czwarty patriarcha: — Okrutnie obchodził się z niewolnikami!

— Sprzedawał złota łańcuszek! — wrzasnął piąty.

— A ponadto — dodał wszystkie chórem — okradł skarbnicę państwa!

— Otóż to! Proponuję go

skazanie! — podsumował przewodniczący.

Teoklimen nie doszedł jeszcze do końca placu, gdy został ujęty przez strażę i ałm się zorientował w czym rzecz, już jego głowa zleciała z karku.

Ta śmierć otrzeźwiła starców. I rzec by można, ochłodziła. Każdy z nich zobaczył siebie na jego miejscu i ałm zebrani poczuli się nieswojo.

— W gruncie rzeczy — powiedział pierwszy — chociaż brał łapówki, był porządnym Ateńczykiem.

— A kto nie utrzymywał jakichś związków z Persami — dodał drugi. — Jeśli nie liczyć tej drobnej słabości, to trzeba przyznać, że nikt w Starożytnej Helladzie nie był odeń rozpustarniejszym, bardziej zapobiegliwym handlowcem. I przy tym uczciwym co się rzadko zdarza!

— A jak żył w odniesieniu do klientów — westchnął trzeci.

— Uprzejmie każdego witaj! I miał dla wszystkich dobre słowo! — podtrzymał go czwarty.

— Jak madrze myślił w czasie obrad! — rzekł piąty.

Wszyscy opuścili głowy. Pierwszy podniósł — ja przewodniczący. Oblicze jego technologicznie powaga i namaszczaniem, kiedy oznajmił:

— Ogłosimy nieboszczyka honorowym obywatелеm Aten ustawimy jego popiersie na centralnym placu.

— Znakiem! — ucieszyli się zgromadzeni.

Nazajutrz Miron wraz z Polikletem wykonał dzieło w marmurze, złocie i srebrze.

A w rzeczywistości Teoklimen nie był tak zły, jak się go szono oskarżając go ani tak dobry, jak mówi się obecnie. Cały problem polegał po prostu na tym, że przechodził obok władzy, kiedy ta nie miała żadnego lepszego tematu.

Przekład A. H.

„GDY Z PANNAMI ZARTUJESZ NIE UTRZYJESZ NOSA”
Życie towarzyskie w dawnej Polsce

Najczęstszą formą życia towarzyskiego w dawnej Polsce była uczta i biesiada. Obok mężczyźni brały w nich udział i kobiety, ze względu na obowiązki towarzyskie i gospodarskie. Ucztom towarzyszyły zazwyczaj rozmowy, tańce, muzyka i teatr.

Wiele cennego materiału o byczajowego o ucztach staropolskich przynosi nam dzieła ówczesnych pisarzy polskich. Ojciec piśmiennictwa polskiego, Rej z Nagłowic (1505—1589) w „Żywocie człowieka uczciwego” tak pisze m. in. o przyjęciu znakomitego gościa:

Oto pan domu „nie siadzie, więc tu sam będzie k’stobu służył, więc tu dzban wzięwszy, poklekawszy i Anna (żona — przyp. E. L.) to weń leć wnurzy, aż mu mimo uszy pocieczy, za zdrowie piąć „pije i za Annę i za sie”.

Jeszcze w XVII w. pokpiwa sobie pewien satyryk: „Gdy z pannami zartujesz, nie utrzyjże nosa, niech ci z niego wygląda, jak kupcowi z trzosa, Wąsy, brodę popluskaj, polej się, gdy pijesz, Obaczysz, jak z pannami uciechy zażyjesz.”

Przestroga ta świadczy o większym polozie kobiet, które mierzyło prostactwo i nieobyczajność szlachty. Nie zawsze jednak okazy-

wali się „dżentelmanami” 1603): „Dworzanin polski — mięczyżni w towarzystwie kobiet. W wydanym drukiem w 1831 r. pamiętniku niejakiego S. Maskiewicza (1580-1640), znajdujemy taką charakterystyczną wzmiankę z 1617 r.:

„Jeździłem do Namejk, do mego szwagra, który miał sprawę z Zabickim. Wypiliśmy miód, złamaliśmy nogę siostrze (tylko nie ja lecz p. Podsedek) i wszyscy razem pojechaliliśmy do Białowicz, do p. Michalskiego”.

Nietrudno — jak widać — było o przypadek na uczcie, gdzie „skłenice w kat łatają, na stole by w łaźni”, gdzie „jako głuch na drugie muszł palcem kiwać, bo już tam trudno słuszej rozmowy używać”, każdy bowiem „wrzeszczy, sąpi, markoce, a mniema, iż śpiewa. A drugi za nim stojąc, jako ciełe ryczy”.

(Rej: Wizerunek własny żywota człowieka poczciwego — 1558). Jeśli wśród takiego hałasu doszło do „słuszej rozmowy”, to i ona nie musiała być wytworna.

Jakiś szlachcic bawił panią opowiadaniem o czynach i okrucieństwach wojennych, „aż ją począł sztuk uczyć, pułginalu dobywszy. Niebożatko białogłowa była ten czas wszystkie jako na skrzypcu, bojąc się, aby jej też tak nie zabil...” (L. Górnicki: Dworzaniński polski).

1566). Pewien komplemencista chwalił kobietę za jej obyczaje, dobroć, cnotę i piękność. Ta odpowiada: „Przez Pana Boga, około cudności nie racz WM mówić, boćm już stara”. Na to szlachcic z zapalem rzecze: „Jeszcze mi się WM tym nie zganila, bo to, że WM stara, przywieździe mię k’temu, że WM a niolom równą czynić będę, które Bóg najdawniej stworzył, a przedsię są najcudniejszymi” (L. Górnicki: Dworzaniński polski).

Przy ówczesnym polozie towarzyskim nie raziło nikogo, gdy kobieta odpowiadała również dosadnie, jak to można wyczytać w „Ogrodzie fraszek” W. Potockiego (1621—1696). Ze kobiety były nieraz głupimi „cieletami” i zbytnio nie liczyły się ze słowami, dowodził odpowiedź owemu rycerzowi, który bawił damy opowiadaniem o swoich przygodach wojennych. Jedną bowiem tak zaprezentowała: „Wojny nie masz. Abyś WM dał się czyścić (malezyjcie, porządnie) tłustem namazać, a wespolek że zbroja... dał się gdzie do szafy schować, abyś WM barżdziej, niż teraz, nie zardzewiał” (L. Górnicki: Dworzaniński polski).

(FR. LEW.)

OPOWIESCI NIEPRAWDZIWE RYSOWAŁ JACEK BROMSKI

Z CYKLU: Z KOLBERGIEM PO KRAJU

